

DUŻYFORMAT



Sprawdził Marcin Wójcik

STYGMATYK PAN, ANIE BRAT

Rolnicy, dopłaty, ekoschematy

MOJA GIEŁDA JEST w Paryżu

• Rolnik Maciej:
– Kiedyś dostawałem mniej więcej
950 zł dopłat do hektara.
A teraz będzie 600 zł,
na resztę trzeba będzie
spełnić rozliczne warunki.

FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Codziennie widziałem, jak rzepak leci, bo mam aplikację w telefonie. Rano pierwsze, co robię, to przeglądam strony z notowaniami

REBUS Z ZASIEWAMI

– Mój mąż, ja zresztą lubię takich ludzi, miał wizję. I on mi tę wizję sprzedał. Tu, nad tym stawem, mówił: będzie dom, tam będziemy jelenie hodować...
– opowiada pani Ewa.

– Będziecie? – pytam.

– Nie – odpowiada pan Robert, mąż pani Ewy.

– Ale dom jest – mówi ona. – A po drugie ta wizja generalnie była taka, że to będzie gospodarstwo inne niż moich rodziców, nowoczesne. I ja czułam, że on to zrobi, chciałam być tego częścią...

R.: – Może ja powiem. Uprawa roślin to nie jest nasz kierunek zasadniczy. Tylko chów zwierząt...

E.: – Proszę pana, my za pieniądze, które dostaliśmy na prezent ślubny, kupiliśmy prosięta...

R.: – Sprzedałem dwie grupy tuczników, zorganizowało się wesele i zrobiliśmy nową, większą wstawkę. Żeby się kręciło...

– A co pani na to, kiedy mąż powiedział, że za pieniądze, które uzyskacie na ślubie, kupicie prosięta?

E.: – Świetny pomysł! Ja temu już przed ślubem kibicowałam, mąż wtedy stawiał pierwszą chlewnię. Dla mnie było naturalne, żeby to rozkręcać. I mąż zawsze mówił, że docenia, że mu nie wymyślam, że trzeba więcej na konsumpcję, ale właśnie na inwestycje.

Pani Ewa ma 44 lata, urodziła się kilometr od miejsca, w którym teraz mieszka, we wsi w powiecie łosickim, to najbardziej wysunięty na wschód powiat RP, zaraz jest Białoruś. Wykształcenie zdobywała w Warszawie, to była prywatna szkoła, studia licencjackie, finanse i bankowość, co uzupełniła Akademią Siedlecką, zdobywając tam tytuł magister zarządzania i marketingu.

Aktywistka, aktualnie jest członkiem izby rolniczej oraz działa w zarządzie Agrounii.

A poza tym ma czwórkę dzieci, same dziewczynki: 22 lata najstarsza, 9 lat najmłodsza.

Pan Robert zaś jest po technikum mechanizacji rolnictwa w Janowie Podlaskim, lat ma 54, i też jest stąd, a nawet bardziej, bo urodził się dokładnie na tym podwórku, w domu, którego już nie ma.

– My jeszcze w nim mieszkaliśmy – mówi pani Ewa i dodaje, że był drewniany, z piecem kaflowym. – Troje dzieci w nim wychowałam. Wszyscy mówili: „Boże, jak mi ciebie szkoda, jak ty tu w takich warunkach żyjesz?”. A ja myślałam: „Poprawi się. Damy radę”.

I rzeczywiście: dziś ich gospodarstwo to 20 ha, które dostali po rodzicach, 20 ha, które dokupili, 40 ha, które dzierżawią, nowoczesny dom i zabudowania, a w nich 2 tys. świń.

Jeśli chodzi o dzierżawę, pani Ewa wyjaśnia, że jak rolnik uzyska prawa emerytalne i chce z nich korzystać, musi zrezygnować z uprawy. – A że młodzież wyjeżdża do miast i często nie wraca, ci starsi nie mają komu jej przekazać. Zaczynają więc szukać, kto o nią zadba, bo głupio, żeby stała odlegiem.

Naturalnymi kandydatami są rzecz jasna sąsiedzi.

– I teraz niech pan sobie wyobrazi – mówi pani Ewa – że dla tych ludzi tak ważne jest to, jak ta ich

TOMASZ
KWAŚNIEWSKI



ziemia będzie traktowana, że nim zdecydują, komu ją powierzyć, oglądają, jak wyglądają pola chętnych do dzierżawy, co na nich rośnie i jak je traktujemy.

– A ile się płaci z tytułu dzierżawy? – pytam.
R.: – My średnio około 800 zł za hektar rocznie.

Rodzice pani Ewy gospodarstwo mieli niewielkie, w sumie około 10 ha, i uprawiali wszystko: kukurydzę, ziemniaki, zboża. A poza tym hodowali wszystko: krowy, konie, owce, kury, kaczki...

– To było typowe wtedy gospodarstwo – mówi pani Ewa i dodaje, że tata przede wszystkim był traktorzystą. Pani Ewa dzieciństwo pamięta jako znojne, czego symbolem dla niej jest to, że musiała nosić wodę ze studni, bo nie było wodociągu.

– A poza tym dać jeść zwierzętom, wydoić krowy... – co akurat lubiła, w przeciwieństwie na przykład do pielienia truskawek. W związku z czym gdy poszła na studia, to z zamiarem, żeby nigdy już nie wrócić.

– I na początku faktycznie bardzo mi się tam podobało – mówi. – Ludzie cały czas gdzieś idą, ta energia mnie zachwyciła. Ale potem zauważyłam, że jak przyjeżdżam tu, to odpoczywam, doceniłam ten świeży powiew, bez zapachów, do których tak mnie ciągnęło, bo chciałam spróbować tych kebabów.

– Bez przesady z tą pracowitością na wsi – mówi za to zapytany o dzieciństwo pan Robert, który lubi bagatelizować, w szczególności swój wysiłek. – Ojciec mnie specjalnie nie gonił do gnoju. Szkołę skończyłem, a potem raczej ciągnęło mnie do maszyn. Lato spędzałem na ciągniku, usługi robiłem, można było zarobić więcej niż przez rok w jakiejś pracy.

– A ten pomysł ze świniami to kiedy się pojawił?
R.: – To był proces. Bo rolnikiem jestem od 5 lutego 1989 roku, gdy ojciec z matką, w celu uzyskania świadczeń emerytalnych, przepisali na mnie gospodarstwo.

– A dlaczego nie na brata czy siostrę?
R.: – Wie pan, w 90 roku kto uciekł ze wsi, to był szczęśliwy, a nie ten, kto został...

– Czyli pan został z tym, czego nikt nie chciał?
R.: – Czy nie chciał? Na pewno jak w 2004 roku

wprowadzono te dopłaty unijne, to każdy nagle zobaczył ten pieniądź z nieba lecący.

Ślub państwo Sz. wzięli w 2000 roku, a wtedy...

– Prawo było takie – mówi pani Ewa – zresztą to dopiero niedawno się zmieniło, że jeżeli kobieta wyszła za mąż za rolnika, a z automatu stawała się rolniczką. Zapisano mnie więc do KRUS...

– To chyba fajnie – wchodzi jej w słowo.
– W związku z czym – włącza się pan Robert – żona rolnika nie mogła zarejestrować się jako bezrobotna, otrzymać z urzędu pracy pomocy...

E.: – A wtedy akurat z pracą było ciężko, każda pomoc była na wagę złota...
– W mieście mówią, że KRUS jest super – mówię.
– Jasne, i dlatego jestem zwolenniczką KRUS dla wszystkich – pani Ewa dodaje, że jej mama ma emeryturę z KRUS, 1100 zł, a za same leki płaci 700 zł. – Trzeba było rozwijać gospodarstwo, a nie mieliśmy środków. Musiałam więc dorobić. Po to zresztą studiowałam. I właśnie ekonomię, bo trzeba było wziąć pod uwagę, kto jest pracodawcą w małych miejscowościach. Do tego zdobyłam kwalifikacje pedagogiczne, żeby móc uczyć matematyki...

R.: – Tylko że na terenie jak nasz miejsca pracy jak szkoła, gmina, bank w zasadzie były dziedziczne.
E.: – Ale udało mi się znaleźć pracę... właśnie w KRUS. Oraz w innej miejscowości jako księgowa w firmie odzieżowej. A poza miałam robotę tu, no i rodziłam dzieci – pani Ewa dodaje, że cały ten młyn skończył się tym, że poroniła. – I to mi uświadomiło, że to za dużo dla mnie, i to był ten moment, kiedy najważniejsza stała się rodzina.

– Jeśli chodzi o dopłaty – mówi pan Robert – co roku składamy wniosek, należy to zrobić do 15 maja...

– A na wypłatę agencja ma czas do końca czerwca następnego roku – włącza się pani Ewa. – Ale w tym roku jest rewolucja, powstał więc rebus totalny...

R.: – Dopłaty są podzielone na dwa etapy...
E.: – Jeden to jest spełnienie tak zwanej warunkowości. Dziewięć norm, za niespełnienie każdej potrąca się nam 3 proc. z ogólnej sumy...

R.: – Która dla nas wynosi 115 euro od hektara...
E.: – Na 60 proc. naszej ziemi uprawiamy kukurydzę. A na reszcie zboże. Pszenica, jęczmień, żyto...
R.: – To wszystko stanowi karmę dla zwierząt, z czego kukurydza jest najlepsza...

E.: – Ona może być siana w monokulturze...
R.: – Kilka lat z rzędu. To jej nie szkodzi, ani glebie.
E.: – A w tej warunkowości jest też zmienowość...
R.: – To jest powszechnie stosowana praktyka...
E.: – Ale przy tej liczbie hektarów i przy działkach pod lasem, gdzie nie siejemy kukurydzy, bo niszczą ją dziki, robi się totalny rebus, jak zaplanować zasiewy. Zwłaszcza że inna z norm mówi o różnorodności...

R.: – Podstawowa roślina w gospodarstwie nie może zajmować więcej niż 65 proc. powierzchni. Roślin musi być co najmniej trzy. I ta trzecia nie może zajmować mniej niż 10 proc. Będziemy musieli ograniczyć kukurydzę, a ona wnosi najwięcej paszy do żywienia.
E.: – Według tej normy kukurydzy na tych samych polach można uprawiać tylko trzy lata z rzędu...

R.: – I z roku na rok rośliny muszą się zmieniać na co najmniej 40 proc. powierzchni gruntu...
– Rety!

E.: – No przecież powiedziałam, że rebus.
– I ktoś to potem będzie sprawdzać?

R.: – Nie, to ma być widoczne we wniosku...
E.: – Ale mają to z satelity sprawdzać. I to jest ciekawe, bo na wsi czasem nie ma internetu. Jak nie ma, a mamy obowiązek zgłaszać zmiany w ilości trzody...

R.: – Sprzedaż, padnięcie, zakup. Są na to dwa dni.
E.: – Wchodzę rano, w południe, wieczorem...
R.: – A tam się takie kółeczko kręci...

E.: – I ja to nagrywam na telefon, bo możemy dostać mandat za to, że nie zgłosiliśmy w terminie.

Poza warunkowością, jak uświadamiają mnie państwo Sz., pojawiły się jeszcze ekoschematy.

– Czyli nasz wybór dobrowolnych praktyk – wyjaśnia pan Robert – które i tak są stosowane w naszym gospodarstwie. Ale teraz są one szczegółowo opisane...

E.: – Za konkretny ekoschemat otrzymuje się określoną liczbę punktów, i mówi się, że to będzie około 100 zł do hektara za punkt...

R.: – Ale na każdy ekoschemat jest pula do podziału.
E.: – Jeżeli więc w skali kraju dużo osób wpisze konkretny ekoschemat, to może być nie 100 zł, tylko 50 zł.

R.: – Ekoschematem jest też przeoranie słomy. My to robimy, ale niektórzy tej słomy potrzebują.
E.: – Też na przykład przeoranie obornika.
R.: – Rozrzucamy, a potem on ma być przykryty. Chodzi o to, by jak najmniej tracić azotu...

E.: – Problem w tym, że na to jest 12 godzin. A co, jeśli ktoś ma daleko do pola i popsuje mu się ciągnik? Albo spadnie deszcz...

R.: – Przykrycie nawozu jest rzeczą jak najbardziej zasadną, tylko po co aż tak to regulować...
– I to jest to, co przyszło do nas z UE?

R.: – Zawsze się składa wszystko na Unię...
E.: – A to jest Krajowy Plan Strategiczny, który ustala nasze Ministerstwo Rolnictwa...

R.: – W 2004 roku, jak składaliśmy wniosek, to tam była działka oznaczona, co posiane, i gra. A teraz... No to jest po prostu tresowanie rolników. Pieniądze są coraz mniejsze, bo te 115 euro nie jest wartość co 10 lat temu, czyli marchewka coraz mniejsza, a podskakiwać musimy coraz wyżej.

– Mamy 2 tys. stanowisk dla świń – mówi pan Robert.
– A w sumie czemu zdecydowaliście się na świnię?

R.: – Krowa jest droższa, trzeba mieć więc więcej na start. I bardziej wymagająca w obsłudze. Inna sprawa,

że to są gospodarstwa chyba najbardziej stabilne finansowo. Bo są najmniejsze wahania cen zbytu.

E.: – Do tej pory, bo w grudniu cena mleka spadła.
R.: – Ale to i tak nic w porównaniu z fluktuacjami, jakim podlega wieprzowina...

E.: – Niezależnie od tego, co mówi mąż, pracy przy świniami jest tyle, że przez 23 lata naszego małżeństwa tylko raz był ze mną i z dziećmi na wakacjach...

R.: – Jeżeli pominiemy ostatnie dwa lata, wychodzi, że to jest niezły interes...

– A co się zdarzyło w ciągu dwóch ostatnich lat?
R.: – Są bardzo ciężkie, jeśli chodzi o świnię.

Produkcja w Europie spadła o jakieś 10 proc. Jak rok temu kupowałem warchlak w cenie stu kilkunastu złotych, to dziś ten warchlak kosztuje 540 zł...

E.: – Dużo tu namieszał ASF. Czyli afrykański pomór świń. On wystąpił w Polsce...

R.: – A przede wszystkim w Chinach, a to największy producent wieprzowiny i największy konsument. A skoro tam wystąpił, to Europa zaczęła sprzedawać wieprzowinę do Chin. Ale Chińczycy szybko się odbudowali. Wiadomo, jest interes, rośnie produkcja. I powiedzieli: stop. Produkcja została, rynek europejski nie był w stanie tego wchłonąć, ceny poleciały...

E.: – A teraz spada pogłowie.
R.: – Dziś kilogram wieprzowiny w skupie kosztuje około 11 zł. A rok temu 5,20 zł...

E.: – Kupujemy małe świnię, robimy z nich duże i sprzedajemy. Żywe, ale jesteśmy rozliczani za mięso, które z nich się uzyskuje. I jesteśmy cenobiorcą.

R.: – Bo ja nie mogę tego tuczniaka odłożyć na skład, poczekać, jaka będzie cena, bo on już urósł, za chwilę zacznie się przewracać, ja się mogę wahać góra 10 dni.

E.: – W zakładzie mięsnym jest klasa ubojowa, im bardziej świnia przerośnięta, tym mniejsza stawka...

Państwo Sz. stale monitorują ceny wieprzowiny.

– Dzwonię do kolegi: „Ja ile sprzedałeś?” – mówi pan Robert. – Są wiadomości na Facebooku. Mamy cenę z giełdy niemieckiej, cała Europa do niej się odnosi. To samo dotyczy warchlaków, które trzeba kupić.

E.: – Współpracujemy raczej z mniejszymi firmami, bo na dużej się sparzyliśmy, kilka lat temu przegraliśmy z taką jedną sprawą sądową...

R.: – O świnię.
E.: – Nie chcę o tym mówić, bo jak spotkałam się z tym prezesem w Sejmie podczas komisji rolnictwa i mu powiedziałam, że mąż w związku z tym przeżył załamanie, to on najpierw przede mną uciekł, a potem dostawałam od tej jego firmy pogroźki...

R.: – W ogromnym skrócie: zrobiliśmy im przysługę, bo ich kierownik mnie poprosił, żeby im sprzedać świnię dodatkowo, poza umową, i potem nas oskarżyli, że my nie realizujemy umowy...

E.: – I odtąd współpracujemy z małymi firmami. I dwa razy tyle zarabiamy. Ale to był trudny czas...

R.: – Załamanie było takie, że rozpocząłem modernizację, zmieniłem technologię chowu...
E.: – To były nasze najdroższe studia...
R.: – Bo wyrok sądowy zapadł, trzeba było zapłacić, nie było za co prosiaków kupić...

E.: – I wtedy zdarzył się cud. Bo spotkaliśmy osobę, to był odbiorca tuczniaków, ja go nigdy na oczy nie widziałam, mąż się z nim kontaktował przez telefon. I on powiedział, że nam pożyczyci pieniądze, a my mu potem oddamy w formie towaru...

– My co chwila mamy kryzys – mówi pani Ewa.
R.: – W rolnictwie jest tak mniej więcej co dwa lata.
E.: – Ale my jesteśmy zahartowani. Bo kiedyś nic nie mieliśmy...

R.: – Po prostu trzeba czekać, aż będzie lepiej...
E.: – Nie rzucać się, nie robić głupot... Bo o ile nie mamy wpływu na to, za ile sprzedamy, o tyle mamy na koszty. I tu są na przykład panele fotowoltaiczne...

R.: – Wciąż mamy ich za mało, żeby być samowystarczalni.
E.: – Bo nastąpiły zmiany w legislacji, czekamy, aż znowu będą korzystne. Jak mąż mówi, że czasem lepiej nic nie robić, to głównie na myśli ma inwestycję.

R.: – Zresztą bank ma swoje wskaźniki, jak widzą, że tucznik nie zarabia, to nie dadzą kredytu...
– A teraz zarabia?

R.: – No, od jakiegoś czasu tak.
– A co pan miał na myśli, mówiąc, że dwa lata temu był kryzys?

R.: – Że wyprodukowanie tuczniaka zamykało się stratą: 200 zł na sztuce. Czyli w naszym przypadku razy 2 tys. sztuk...

– A dzisiaj?
R.: – A dzisiaj można zarobić 200 zł.

– A czy pan ma świadomość – pyta pani Ewa – że za brak siatki w oknie chlewu mogą zamknąć nam gospodarstwo? Ot tak – pstryka palcem.

*Raz w tygodniu
robię pszenicy zdjęcie,
żeby mieć za rok porównanie*

żeby się dywersyfikować. Bo to jest wielkie ryzyko być nastawionym tylko na jedno.

A może to powinna być dynia? – myśli na głos. – Uprawa na pestki? Bo dynia wymaga mniej nawożenia, a teraz nawozy drogie. Do tego z hektara jest to kilkaset kilo, a nie jak ziemniaków 50 ton, w związku z czym roboty dużo, dużo też transportu.

– A jeśli chodzi o opłacalność...
– Oczywiście patrzę też pod tym kątem. Dziś rano byłem w lokalnym skupie, podpisałem na połowę zbiorów rzepaku cenę gwarantowaną. Nie jest rewelacyjna, ale daje już jakąś opłacalność: 2100 zł za tonę nasion. Skup jest niedaleko, więc prosto z pola to zwiozę, to też jest duży plus.

Zrobiłem tak, bo się przestraszyłem, że później może być jeszcze taniej. Po prostu kupiłem sobie trochę spokoju. Bo był już taki moment, dwa tygodnie temu, że rzepak był już na granicy opłacalności: 1700 zł za tonę.

Codziennie widziałem, jak leci, bo mam aplikację w telefonie, która mi pokazuje kursy na giełdzie, też dzwonię, pytam na skupach. Rano pierwsze, co robię, to przeglądam te strony z notowaniami.

I teraz się zastanawiam, czy podobnie nie zrobić z pszenicą – mam propozycję, w sumie niezłą, tylko pszenica musi być konsumpcyjna. Czyli o wysokiej gęstości. A to nie jest tak łatwo uzyskać, w zeszłym roku zabrakło mi dosłownie troszeczkę, na szczęście nie miałem podpisanej umowy, bo poniósłbym konsekwencje.

Maciej zapytany o to, jak myśli, od czego zależą te nieustanne wahania cen, odpowiada, że no właśnie nie bardzo to rozumie, a ostatnio to już w ogóle.

– Dziwne zjawisko wystąpiło na przełomie października i listopada. Do tego momentu kupujący wręcz zabijali się o nasz towar: rzepak, zboża, kukurydza. I nagle, w ciągu tygodnia, kompletnie się trend odwrócił, zainteresowanie spadło do zera.

– A gdzie masz tę giełdę, którą obserwujesz?

– Ta główna to w Paryżu.

– I te ceny tam i w twoim skupie są takie same?

– Właśnie to kolejne ciekawe zjawisko. Bo do października praktycznie było jeden do jednego. A w tej chwili nam tu brakuje jakieś 300 zł na tonie. Myślę, że to jest związane z tym, że to ukraińskie zboże do nas płynie...

Jakby Maciek miał opowiedzieć, jak planuje uprawy, to wyglądałoby to mniej więcej tak: – Kurczę, ciężko wróżyć, bo na przykład w tamtym roku cena rzepaku była rekordowa, w maju: 5000 zł, więc ludzie, którzy od lat go nie uprawiali, zaczęli, i teraz go będzie

więcej. Czynnikiem na to złożyło się wiele, przede wszystkim wojna w Ukrainie, do tego Indonezja zakazała eksportu oleju palmowego... W poprzednie lata się cieszyłem, jak rzepak był po 1500 zł za tonę, bo to była cena, że ktoś z boku, nowy w to nie wchodził, a dla mnie to było w miarę. Ale 1500 zł wtedy to było lepiej niż teraz 2100 zł, bo były niższe koszty produkcji...

– Słowem: nic nie wiadomo?

– No tak, a w tej chwili to już kompletnie, w związku z tym prawie do ostatniej chwili muszę być elastyczny. I jeśli chodzi o kukurydzę, to jeszcze miesiąc temu nie wiedziałem, czy ją posiej. Mimo że nasiona kupiłem. Bo nawozy były bardzo drogie, teraz trochę spadły, ale jeszcze ich nie kupiłem, wydaje mi się, że jeszcze spadną, zrobiłem kalkulację kosztów, i teraz myślę, że jednak ją będę siał.

– A ta kalkulacja?

– Nasiona kukurydzy to jest około 1000 zł na hektar. Jak wszystko dobrze pójdzie, z hektara będę miał 12 ton, zakładam, że tonę sprzedam za 600 zł.

– Czyli będziesz miał 7200 zł z hektara.
– Minus nasiona oraz nawozy, w sumie to już 3500 zł. Do tego 500 zł będzie kosztował zbiór usługowy, bo nie mam własnego sprzętu. Plus usługa siewu, 300 zł odchwaszczanie i zabiegi typu oprysk cynkiem, bo kukurydza go potrzebuje. Plus paliwo, bo muszę to zaozać dwukrotnie, to jest około 400 zł. Do tego amortyzacja sprzętu. Zostaje mi jakieś 2200 zł z hektara.

– A są jakieś uprawy, na których zysk jest większy?

– Na rzepaku jest podobny. Na pszenicy będzie o kilkaset złotych wyższy. W tej chwili na buraku cukrowym jest nawet czterokrotnie większy zysk. Ale nie jest łatwo w to wejść. Bo trzeba mieć z cukrownią umowę na odbiór, a raz, że to nie jest proste, a dwa, że najbliższa jest za Lublinem, dochodzi więc spory koszt transportu.

Tak historycznie, to Maciejowi najtrudniej było na początku, i teraz. – Ten pierwszy rok, co tam było po mamie, się skosiło, jeszcze w szkole byłem, to nie byłem dojrzały, pieniędzy też nie miałam. A też tym naszym polom brakowało dopieszczenia, nie było odpowiedniego pH, a to również limituje plon. Kupowałem wapna, nawozy, dziś nie mogę już narzekać. Tylko od 2020 roku wykańcza mnie ta destabilizacja.

Jak w sierpniu 2021 roku, gdy te ceny zaczęły rosnać, zadzwoniłem, chciałem zamówić nawozy azotowe i usłyszałem: 1300 zł, to pomyślałem: „Nie, no to później kupię, bo to niemożliwe, żeby takie ceny się utrzymały”. A gdy po tygodniu się zorientowałem, że będzie dużo drożej, to już nie

było szans na zamówienie, wszystkie firmy odmawiały sprzedaży, czekając na jeszcze wyższe ceny. Aż urosły do niebotycznych 5000 zł za tonę nawozu, który w poprzednie lata kupowałem nie drożej niż za 1000 zł.

– To o ile w sumie ci wzrosły koszty?
– Na rzepaku – 100 proc. Miałem 3000 zł na hektarze, a teraz 6000 zł. W przypadku pszenicy, jęczmienia to około 80 proc.

– A zarobek?

– No finalnie w tamtym roku, nie można powiedzieć, bo byłoby to kłamstwo, przychód też mi wzrósł, na przykład na rzepaku o 100 proc. Z tym że te 3000 zł, które mi zostawały wtedy i teraz, to nie jest to samo, ja za to dziś znacznie mniej mogę kupić.

To, czego Maciek obawia się najbardziej, i to co roku, to susza.

– Jeśli by ktoś mi dał gwarancję, że będzie woda, to ja już jestem spokojny. Bo wiem, nawet mimo wysokich kosztów, że dzięki pracy, którą wkładam, plony będą w miarę. Ale jeżeli będzie susza...

Zdarzyło mi się to w 2018 i 2019 roku. I to był pogrom. Owszem, państwo wtedy pomogło, były rekompensaty, ale prawie nic nie zarobiłem.

W tej chwili jestem zadowolony z upraw, bo na przykład pszenica – raz w tygodniu robię zdjęcie upraw, żeby mieć za rok porównanie – tak wzrokowo, to jest ładniejsza niż w zeszłym. Rzekapak w tamtym był trochę ładniejszy, ale też nie jest źle. No, a w 2018 roku to już w kwietniu było widać po roślinach, że będzie źle. I nie padało. I nie padało. Temperatura wysoka...

Normalnie depresji szło wtedy dostać. Bo zrobiłem wszystko jak należy, nasiona były kupione firmowe, i teraz to ginie w oczach. A dodatkowo bolało, że ceny nie poszły w górę, tak jak teraz.

– I jak wtedy dałeś radę?

– Wsparłem się kredytem. A w 2019 roku znów była susza, tylko mniejsza. Do ostatniego momentu super wyglądało, i w czerwcu przyszyły dwutygodniowe upały, po 40 stopni, aż się ziarno skurczyło w kłosach.

– A nie można się od tego ubezpieczyć?

– Można, ale to jest drogie, a po drugie... Powiedzmy, że na polisie wpisuję, że zakładam plon 10 ton pszenicy z hektara. Według tego stawka, którą płacę, jest liczona. Przychodzi susza, założymy, że wylicza mi stratę: 40 proc. Ale do 30 proc. i tak jest moje ryzyko. Wyplacą mi więc za 10 proc.

– **Nie, no tak żeby pomyśleć: „Pierdole to”,** jeszcze mi się nie zdarzyło. Ale wiele razy było mi przykro. Bo człowiek naprawdę w to serce wkłada, informacje zdobywa, ja przecież jeżdżę na różne szkolenia czy

w maju, czerwcu na te tak zwane poletka, że firma przygotowuje pasy roślin i prezentuje nowe odmiany. A mimo to...

– I co wtedy robisz? Biegasz, dźwigasz, czytasz, pijesz...

– Nie, no nie piję, tylko jeszcze bardziej pograżam się w pracy.

To, co Maćka frustruje, poza tą pogodą, na którą nie ma wpływu, to ten niustający wzrost wymagań i towarzysząca temu biurokracja. – Na przykład muszę prowadzić ewidencję zabiegów. Co mi bardzo przeszkadza, bo nie dość, że cały dzień pracuję, to jeszcze potem siedzę do późna, notując: to pole, warunki były takie, zastosowałem to i to, w dawce takiej.

I muszę to przechowywać przez pięć lat. Na wypadek kontroli. Miałem już trzy.

Najpierw zadzwonił pan, się zapowiedział, przyszedł: „Panie Maćku, pan wyciąga papiery”. Sprawdzal różne rzeczy, w tym jakie środki stosowałem. I tu, uwaga, pułapka, są takie, które stosuje się na przykład przeciwko grzybom, i skład mają ten sam, ale producent zarejestrował je tylko do pszenicy, jak się je stosuje do innego zboża, to już jest nielegalne.

Drugą kontrolę miałem niezapowiedzianą, zjawily się panie z Państwowej Inspekcji Ochrony Roślin, chodziły po polach, zrywały liście, żeby je przebadac, czy nie stosuję niedozwolonych środków.

Trzecia dotyczyła rzepaku, panie też zrywały liście, żeby sprawdzić, czy nie mam go z domieszką GMO. Mówię: „Proszę pań, przecież sami dopuściliście ten rzepak, tu są faktury za nasiona, a co, jakby ktoś tu coś podmienił, czegoś tu dosypał? Przecież ja mógłbym być niewinny”...

– I co ci odpowiedziały?

– Że jeżeli stwierdzą GMO, to plantacja jest do zaozrania, plus kara 200 proc. wartości faktury za nasiona.

– **Maciek, powiedz mi** – pytam na koniec – dlaczego w miastach te wszystkie warzywa, chleb, jajka, mięso są takie drogie?

– Mnie też to boli, bo zobacz, na przykład rolnik za kilogram ziemniaków dostaje złotówkę z hakiem i jeszcze się cieszy, a ile jest w sklepie? 7 zł.

Ja też kupuję chleb, dlaczego on teraz nie tanieje? Mleko dochodziło do 3 zł, w tej chwili spadło o 80 gr, procentowo to jest ogromny spadek, a idę do sklepu i widzę, że kosztuje tyle, ile kosztowało, albo nawet więcej. A masło? Olej? Przecież cena rzepaku teraz spadła, on jest ledwie trochę droższy niż parę lat temu. Tak więc to na pewno nie jest powód, żeby ten olej był taki drogi.

Mówię ci: ktoś nas tu rąbie, aż wióry lecą. ●

Czego o Elii Cataldo nie wiedzą kardynał Nycz, arcybiskupi Budzik, Ryś i wielu polskich biskupów?

B

Brat Elia Cataldo z Włoch już jako niemowlę miał nadprzyrodzone zdolności, jak czytamy w polskiej prasie i portalach katolickich, w tym Deon.pl i „Gościu Niedzielnym”. Przez cały Wielki Post nie ssal piersi matki, bo pościł. Przez 40 dni nie dało się go nakarmić nawet butelką; jeść zaczął dopiero w Niedzielę Wielkanocną. A w wieku siedmiu lat widział anioły, które tańczyły nad jego głową, i bawił się z nimi.

Brat Elia odwiedza polskie diecezje. Na przełomie kwietnia i maja przyjmowali go biskupi olsztyński, kaliski, warszawsko-praski i ełcki.

BÓG NIE MA CZASU MYŚLEĆ O CUKRZYCY

Kalinowo leży między Elkiem a Suwałkami. W centrum wsi urząd gminy, poczta, sklepy, bar, kościół. Na stronie internetowej parafii nie ma nic o spotkaniu z bratem Cataldo. Są za to artykuły o grzechu: „Czy pieszczoty to grzech?”, „Czy śpiewanie kolęd przed świętami to grzech?”, „Czy antykoncepcja to grzech?”, „Czy niepójście do kościoła w niedzielę to grzech ciężki?”, i znowu: „Pieszczenie – grzech czy przyjemność?”. Proboszcz parafii zaprosił brata Cataldo, bo poznał go, kiedy podróżował po Włoszech, jak tłumaczy teraz pielgrzymom, którzy zajmują miejsca przed ołtarzem polowym, ustawionym przy kościele.

Stanisława, emerytka: – Ksiądz u nas głosił, że będzie tutaj cudowny brat z Włoch. Przyjechałam z córką, szwagier nas przywiózł, bo mąż mi zmarł w zeszłym roku. Córka jest wyniszczona przez cukrzycę. Lekarze postawili na niej krzyżyk. Nie poddamy się. Mamy za orędowników świętych.

- Liczycie dzisiaj na uzdrowienie?
- Jak Bóg będzie chciał, to uzdrowi.
- Rękami brata Elii?
- Ponoć uzdrowia nawet pacierz z nim zmówiony.
- Kto tak powiedział?
- Córka wyczytała w internecie.
- A sam Bóg nie uzdrowi?
- Gdzie by tam miał czas myśleć o cukrzycy córki.

ZATRZYMYWAŁ KRWAWIENIE, GOIŁ RANY

Elia Cataldo urodził się w 1962 roku jako ósme dziecko rolników z północy Włoch. Mało jest w książkach i internecie informacji o jego zwyczajnym życiu, wiele o życiu nadzwyczajnym. Oprócz tego, że pościł jako niemowlę, a później bawił się z aniołami, widywał Matkę Boską, kiedy grał w piłkę z kolegami. Mówił im, że ta pani, co stoi przy boisku, woła go, żeby poszedł z nią na różaniec do kościoła. Koledzy się śmiali, bo nikogo nie widzieli, ale on i tak szedł się modlić z niewidzialną panią. Jako dziecko potrafił już uzdrawiać. Kolega nadział się na metalowy pręt. Elia dotknął rany i krew przestała tryskać – gdy karetka przyjechała, nawet nie było śladu po bliźnie.

Kiedy Elia skończył 18 lat, został listonoszem w Mediolanie. Nosił listy do klasztoru Braci Kapucynów i po kilku przesyłkach zdecydował, że też przywdzieje habit. U kapucynów odbył nowicjat i złożył pierwsze śluby zakonne. Jednak bracia nie bardzo wierzyli, że widzi anioły, świętych, Maryję i Jezusa, i wysłali go na badania medyczne do USA. Po powrocie Elia odchodzi z klasztoru.

MAŻ JESZCZE W PIEKLE

Przed kościołem coraz więcej ludzi, na parkingu brakuje miejsc. Pielgrzymi niosą ze sobą składane krzesła.

Barbara (z krzesłem): – Najważniejszy jest święty spokój. Znalazłam go w Bogu. Rano wstaję przed siódmą, jem śniadanie, robię kawę i do dziewiątej się modlę. Opowiadam Bogu o życiu. Ułożyłam nawet litanie ze swego życia.

- Litanie? – dopytuję.
- Taką powtarzanek.
- Proszę zacytować.
- Pamiętasz, Panie, jak nie posłuchałam matki i wyszłam za chłopaka, który zniszczył sobie życie alkoholem.



Stygmatyk z Umbrii jeździ po Polsce

JEZUS
ZGADZA SIĘ
NA FOTO

MARCIN
WÓJCIK



Lulu i Nana. Stworzone jako eksperyment

PRZECIEŻ TO SĄ
LUDZIE!

Nie wiemy, czy technologia edycji genomu jest bezpieczna. Czy warta jest tego, by stworzyć trzy tysiące dzieci? I badać przez całe ich życie, czy nie wystąpią problemy?

Z **BENEM HURLBUTEM**, PROFESOREM ETYKI NAUK BIOLOGICZNYCH Z UNIWERSYTETU ARIZONY, ROZMAWIA **URSZULA JABŁOŃSKA**

Jak poznałeś chińskiego biofizyka He Jiankui?
– W 2017 roku braliśmy udział w kameralnym spotkaniu w Berkeley, które zostało zwołane przez Jennifer Doudnę, późniejszą laureatkę Nagrody Nobla w dziedzinie chemii za rozwinięcie techniki edycji genomu CRISPR/Cas9, czyli wprowadzania zmian w DNA istniejących genów.
Spotkanie dotyczyło zagadnień etycznych z nią związanych. He mało się odzywał, głównie słuchał. Pokazał swoją prezentację, ale niewiele osób się nią zainteresowało. Jak się później okazało, to spotkanie wywarło na He ogromny wpływ. Większość uczestników to były autorytety w tej dziedzinie, a on uważnie słuchał wszystkiego, o czym mówili.

A padały tam opinie, że aby dokonać postępu w nauce, potrzebujemy ludzi, którzy podejmą ryzyko. Ktoś użył nawet określenia „kowbojska nauka”. Zapamiętałem w szczególności zdanie: „Żeby popychnąć naukę do przodu, trzeba łamać zasady”. To dało He odwagę, żeby przeprowadzić eksperyment, który przyniósł mu niesławę.

Czym He się wtedy zajmował?

– Przy pomocy techniki CRISPR/Cas9 modyfikował genom zarodków, które pochodziły od pewnej pary. Ci ludzie zgodzili się wziąć udział w eksperymencie. Chcieli mieć dziecko, ale mężczyzna był nosicielem wirusa HIV. Stworzono zarodki i He starał się edytować fragment genu CCR5, który odpowiada za możliwość zakażenia się wirusem HIV. Robił to czysto eksperymentalnie, żeby sprawdzić, czy to możliwe.

Brzmiał szlachetnie.

– Z biomedycznego punktu widzenia nie ma żadnego powodu, żeby to robić. Jeżeli ojciec jest zakażony wirusem, podczas in vitro można oczyścić spermę tak, że nie ma ryzyka transmisji. Później wystarczy, że będzie stosował leki antyretrowirusowe, żeby ryzyko zakażenia było znikome.

Jednak w Chinach bycie nosicielem wirusa HIV wiąże się z ogromną stygmatyzacją. Zakażeni są społecznymi pariasami, jak trędowaci w średniowiecznej Europie. Przeprowadzają się do innych miast, zmieniają nazwiska. Więc tak naprawdę He przy pomocy interwencji genetycznej starał się rozwiązać problem społeczny.

Nie mówił publicznie o pomysle, żeby rzeczywistość powołać do życia dzieci. Świat dowiedział się o narodzinach bliźniaczek Lulu i Nany z artykułu w „MIT Technology Review” w listopadzie 2018 roku.

Czy He złamał jakieś prawne regulacje odnośnie wprowadzania dziedzicznych zmian genetycznych?

– Regulacje różnią się w zależności od kraju. Polska i 28 innych krajów podpisały konwencję o prawach człowieka i biomedycynie zawartą w 1997 roku



w Owiedo, która zabrania wprowadzania dziedzicznych zmian genetycznych. Edycja genów jest też właściwie nielegalna w USA.

Natomiast w Chinach w 2018 roku jej status prawny był nieokreślony. Obowiązywała regulacja z 2003 roku, która dotyczyła klonowania, było w niej też jakieś odniesienie do modyfikowania genów, ale nie było za to żadnej kary. Kiedy He planował swój eksperyment, skonsultował się z prawnikiem, który zapewnił go, że to nie jest nielegalne. Może jest na granicy prawa, ale w każdym razie nie jest karalne.

Jaka była motywacja He, żeby sprowadzić na świat te dzieci?

– Chciał dokonać czegoś, co przejdzie do historii. I chciał dokonać tego jako naukowiec z Chin, żeby było to osiągnięcie także dla jego kraju. Chiny kładą ogromny nacisk na międzynarodową konkurencję na polu nauki i technologii – chcą się ścigać z Europą, z USA. Zwłaszcza biotechnologia jest priorytetowym obszarem. Chiński rząd dużo inwestuje w badania, buduje olbrzymie centra badawcze. Placi najzdolniejszym naukowcom, którzy uczyli się w USA i Europie, żeby wrócili do Chin i tam prowadzili badania, które zostaną opublikowane w prestiżowych magazynach „Science” czy „Nature”. He był jednym z nich.

Ale He sądził też, że to jest dla ludzkości krok w dobrą stronę. Że to jest przyszłość. Konsultował się z wieloma wybitnymi naukowcami i pytał, czy to jest dobry kierunek. W większości przypadków odpowiedź brzmiała: „Tak”.

Więc ktoś wiedział, co planuje?

– Tak – bardzo wpływowe postacie. Jedną z osób, z którymi był w kontakcie, był jego promotor na studiach na Stanfordzie, Stephen Quake, który zarządza Inicjatywą Chan Zuckerberg, fundacją, która koncentruje się na badaniach biomedycznych. Dużo o tym rozmawiali. Myślę, że w sumie około sześćdziesięciu osób wiedziało, co zamierza zrobić He – europejscy i amerykańscy naukowcy, biznesmeni, chińscy urzędnicy. Wielu wyrażało entuzjazm. He artykuł o eksperymencie chciał opublikować w „Nature”.

Nazwał swój eksperyment „genetyczną szczepionką”. Miał pewność, że będzie bezpieczny?

• W chińskim laboratorium He Jiankui

FOT. MATERIAŁY PRASOWE MDAGFF

– Jak miałby zdobyć tę pewność?

Przeprowadzić badania, które potwierdzą, że dzieci będą zdrowe?

– Nie ma żadnej możliwości przeprowadzenia badań, które to potwierdzą. Prawda jest taka, że nie wiadomo, co się wydarzy. Dla mnie to jest fundamentalny problem z tą technologią. Nie leczysz choroby u kogoś, kto już istnieje. Stwarzasz pacjenta po to, żeby go wyleczyć. Osoba zostaje wyprodukowana jako eksperyment.

Nie wiesz, czy dana technika jest bezpieczna, dopóki nie powtórzysz eksperymentu wiele razy. Czy ta technologia jest warta tego, żeby stworzyć trzy tysiące dzieci? I czekać całe ich życie, czy nie pojawią się jakieś problemy? Przecież to są ludzie! To nie trzy tysiące szczurów czy małp.

No właśnie – czy nie można sprawdzić jej działania na zwierzętach?

– Można prowadzić eksperymenty na myszach czy małpach – i He to robił. Ale nie można na pewno stwierdzić, jak będą się rozwijać ludzie, dopóki nie zrobi się tego na ludzkim DNA. Myszy żyją tylko dwa lata. A może jakieś efekty potrzebują więcej czasu, żeby się ujawnić?

In vitro jest tutaj ciekawym przykładem. W tym przypadku również nikt nie wiedział, czy jest bezpieczne. Pod koniec lat 70. angielscy lekarze po prostu zrobili dziecko.

Lekarstwa, które bierzemy na byle dolegliwość, są poddawane rygorystycznym badaniom, by szukać ewentualnych – rzadkich, ale poważnych – skutków ubocznych. Jeżeli prowadzisz test kliniczny na pięciu tysiącach osób i jednej przydarzy się coś dziwnego, lek może nie zostać dopuszczony do sprzedaży.

Natomiast w dyskusjach o edycji genomu procedurę in vitro stawia się za przykład: jeżeli byłoby surowe wymagania co do jej bezpieczeństwa, nigdy byśmy tego nie zrobili. Ale czy to jest powód, dla którego powinniśmy tak samo postąpić z edycją genów?

Kiedy Lulu i Nana się urodziły i świat się o tym dowiedział, media zareagowały raczej oburzeniem niż entuzjazmem. Podkreślano, że to przedwczesne, niebezpieczne i nieodpowiedzialne.

– Media rzeczywiście zareagowały negatywnie – eksperyment został jednogłośnie potępiony. Taka reakcja zaskoczyła redakcję pisma „Nature”, której He wysłał swój artykuł. Dokonano etycznej oceny eksperymentu, wypadła ona zadowalająco. Rozważano publikację. Kiedy rozpętało się piekło, „Nature” wycofało się, ponieważ artykuł był bardziej kontrowersyjny, niż się spodziewano. Również w Chinach państwowa gazeta najpierw napisała coś pozytywnego, potem zmieniła ton.

Jednak ważne jest to, że prawie natychmiast ciężar dyskusji o edycji genomu przesunął się z pytania, czy w ogóle powinniśmy to robić, na pytanie – jak powinniśmy to zrobić odpowiedzialnie? I ta dyskusja trwa do dzisiaj.

Padają argumenty, że owszem, He popełnił przestępstwo, ale skoro to już się stało, zastanówmy się, jak zmienić prawo, by edycja genomu nie była zabroniona. Ale dlaczego mielibyśmy to robić?

Jednak Chiny po tej historii wprowadziły stanowczy zakaz takich eksperymentów.

– To prawda. Chińczycy tę sprawę uznali za wstydliwą dla siebie i nałożyli na procedurę surowe ograniczenia. Dyskusja trwa w innych częściach świata. Entuzjastą jest na przykład jeden z brytyjskich naukowców, który był członkiem większości komisji doradzających naukowcom w kwestiach etyki. Eksperyment He otworzył drzwi do dyskusji o tym, jak mamy edytować ludzkie geny.

Co stało się z He?

– Prawie natychmiast został przez chińskie władze umieszczony w domowym areszcie na kampusie uniwersytetu i pouczony, żeby nie rozmawiać z mediami. Władze w tym czasie prowadziły dochodzenie w jego sprawie. Miał dostęp do maila i telefonu, ale rozmawiał tylko z kilkoma osobami. Z jakiegoś powodu czuł się bezpiecznie, rozmawiając ze mną. Był zaskoczony reakcją na swój eksperyment. Uznał, że rzeczywiście zrobił coś złego. Nie miał jednak refleksji, że nie powinien w ogóle przeprowadzić tego eksperymentu. Flumaczyl się, że zrobił to za szybko. Świat nie był na to gotowy.

Ale skoro tylko ten, kto będzie pierwszy, zgarnie laury, pojawia się ciśnienie, żeby się nie zagapić. He po prostu się spieszył, żeby być tym pierwszym, bo to jedyny sposób, żeby zostać bohaterem.

Co by można było osiągnąć, gdyby zaczęto stosować technologię edycji ludzkich genów? Oczywiście oprócz leczenia chorób.

– Nie lubię używać w kontekście wprowadzania dziedzicznych zmian genetycznych sformułowania „leczenie chorób”, bo sugeruje, że mamy do czynienia z kimś, kto jest chory. To jest bardzo ważny punkt w tej dyskusji. Tu nie ma osoby, która potrzebuje lekarstwa. Tworzy się osobę w celu stosowania kuracji.

Można by użyć tej technologii, żeby dokonać zmian wszędzie, gdzie w genach jest jakaś nieprawidłowość. Niektóre choroby genetyczne są spowodowane zmianą w jednym nukleotydzie DNA. Więc można by to naprawić, przywrócić wersję, która nie powoduje choroby. To dotyczy takich chorób jak anemia sierpowata czy mukowiscydoza. Moglibyśmy zmodyfikować komórki rozrodcze rodziców albo zarodek, żeby naprawić te defekty. Nie dotyczy to jednak wszystkich chorób genetycznych. Niektóre są bardziej skomplikowane.

Aktualnie podczas in vitro przeprowadza się po prostu selekcję zarodków. Jeżeli rodzice są nosicielami mukowiscydozy, szansa na dziedziczenie wynosi jeden do czterech. Więc produkuje się dziesięć zarodków i wybiera ten zdrowy. I dziecko rodzi się bez obciążenia. Szanse wynoszą sto procent tylko wtedy, gdy oboje rodzice chorują na mukowiscydozę. Jednak taka sytuacja jest raczej rzadka i jest dostępne leczenie, które powoduje, że ta choroba nie jest tak niebezpieczna jak dawniej.

Czyli można by wyeliminować niektóre choroby u potomstwa. Co jeszcze?

– Są geny, które mogą przynosić różne korzyści. Na przykład – gen PCSK9 jest zaangażowany w metabolizm cholesterolu. W Polsce powszechne są choroby serca, bo Polacy jedzą dużo kielbasy i piją piwo. A te choroby częściowo powoduje właśnie wysoki poziom cholesterolu związany z dietą. I jeżeli wyeliminowałoby się ten gen, teoretycznie można by się pozbyć negatywnych efektów cholesterolu. Można by stworzyć dziecko, które mogłoby jeść dużo mięsa bez negatywnych skutków, przynajmniej w tym obszarze. Takich genów, których modyfikacja może przynieść korzystne efekty, jest sporo. Kolor skóry,

kolor oczu, masa ciała to też nie są genetycznie skomplikowane sprawy.

Ale nie jest tak, że jeden gen odpowiada tylko za jedną cechę, jeden gen jest używany na wiele różnych sposobów w różnych momentach rozwoju. A jego ekspresja jest kontrolowana przez gen regulujący. Więc jeżeli zainterweniuje w gen regulujący, włączymy go w konkretnym momencie rozwoju, żeby działał silniej niż normalnie, można osiągnąć znaczące efekty.

Jakie?

– W kategoriach ewolucyjnych nie minęło dużo czasu, od kiedy nasi przodkowie mieli ogony. W pewnym momencie ludzie wyłączyli ekspresję genu, która prowadzi do podziału kręgosłupa, by wytworzyć ogon. Teoretycznie moglibyśmy znowu ją włączyć.

Teraz w dyskusji o biotechnologii mówimy o prostych interwencjach. Słychać głosy, że nie powinniśmy na razie martwić się tymi skomplikowanymi. Moim zdaniem to nonsens. Technologia jest narzędziem, takim samym jak śrubokręt. Kiedyś zrozumiemy więcej i będziemy mogli jej użyć, żeby zrobić więcej. Więc jeżeli otworzymy drzwi dla prostych rzeczy, będziemy tylko dalej rozwijać tę technologię.

Przypomina mi to aktualną dyskusję o sztucznej inteligencji. Naukowcy rozwijali technologię i dopiero teraz, kiedy jest dostępna dla każdego, pojawiają się pytania, czy ludzkość w ogóle powinna iść w tę stronę.

– W przypadku sztucznej inteligencji naukowców zajmowało głównie pytanie: „Czy uda nam się to zrobić?”. I dopiero kiedy się udało, zdali sobie sprawę, jakie mogą być tego konsekwencje. Dyskusja uderza w tony: „Ta technologia może nawet zniszczyć ludzkość”. Ale jest już trochę za późno, żeby się wycofać.

Dyskusja wokół eksperymentu He jest bardzo podobna. Wcześniej zastanawialiśmy się, czy ta technologia jest nam w ogóle potrzebna. A potem He zrobił swój eksperyment i prominentni naukowcy mówią: „Wygłąda na to, że tego nie da się już powstrzymać. To się już dzieje. Jak ustawimy parametry?”. A nie wszystko jeszcze rozumiemy. To tak jakbyśmy ustalili zasady korzystania ze sztucznej inteligencji na podstawie tego, co wiedzieliśmy o niej piętnaście lat temu. I CRISPR/Cas9 to tylko jedno z wachlarza narzędzi do edycji genomu. Rozwijają się różne techniki – na przykład wyłączenia genów na jakiś czas albo na zawsze.

Więc jakie pytania powinniśmy sobie stawiać?

– Fundamentalne pytania, w których centrum jest nie technologia, tylko człowiek i poszukiwanie rozwiązań dla jego problemów.

Spójrzmy na eksperyment He od innej strony. W Chinach istnieje ogromny problem społeczny – stygmatyzacji nosicieli wirusa HIV. Jak go rozwiązać? Czy odpowiedź brzmi: „Powinniśmy modyfikować genetycznie ludzi, żeby byli odporni na wirusa”? Nie wydaje mi się. To problem społeczeństwa i to ono powinno się zmienić. Społeczeństwo, które traktuje niesprawiedliwie grupę osób z powodu choroby, nie jest dobre. Nawet jeżeli wyeliminujesz chorobę z genów, to nie rozwiąże problemu.

Znajdź inną grupę, którą będzie stygmatyzować?

– Dokładnie. Naziści nie ograniczyli się do eksterminacji Żydów, wciąż dodawali nowe grupy ludzi.

Jedną z moich koleżanek jest biologka i ma dysleksję. Czyta bardzo wolno, miała problem w szkole. Ale jest świetna w wizualizacji systemów biologicznych. A w USA, jeżeli nie wypełnisz testu w trzydzieści minut, dostajesz gorszą ocenę niż osoba, która to potrafi. Możesz być genialna, jednak jeżeli twój mózg przetwarza język inaczej, ten rodzaj testu tego nie wykaże.

Moglibyśmy znaleźć gen, który spowoduje, że dziecko lepiej poradzi sobie na takim teście. A potem stworzyć więcej dzieci z tym genem. Pomyśl, co się



Film „Zróbmy lepszego człowieka” (reż. Cody Sheehy) można zobaczyć podczas 20. Festiwalu Filmowego Millennium Docs Against Gravity. Festiwal odbywa się w dniach 12-21 maja w ośmiu miastach (Warszawa, Wrocław, Gdynia, Katowice, Poznań, Bydgoszcz, Lublin, Łódź), a już od 24 maja do 5 czerwca odbędzie się część online na stronie Mdag.pl

może zdarzyć, jeżeli zaczniemy projektować dzieci, żeby mieściły się w tak pomyślanych przegródkach?

Technologia będzie dostępna tylko dla bogatych, więc oni będą to robić?

– Oczywiście, można się martwić, że w przyszłości bogaci ludzie staną się innym gatunkiem. Mnie martwi bardziej to, że ludzie będą się stawać jednakowi. Martwi mnie sama wizja tego, co się uważa za dobre i pożądane.

Poza tym to nie tylko kreowanie nierówności, to także nakładanie ogromnej odpowiedzialności na rodziców. Wyobraź sobie, że chcesz mieć dziecko i ktoś ci mówi: „Możesz spowodować, że będzie odporniejsze, zdolniejsze, ochronić je przed chorobami”. Dlaczego miałabyś tego nie zrobić? Albo że twoja córka dostaje raka piersi. Mogłaś temu zapobiec, ale tego nie zrobiłaś. To już nie jest okropny wypadek, tylko twoja odpowiedzialność, twoja wina. Podobnie kiedy twoje dziecko nie radzi sobie w szkole, za wolno czyta, cierpi na depresję. Pomyśl o presji, która będzie spoczywać na rodzicach.

No to co robić? Przestać rozwijać tę technologię? A może jednak ustalić jakieś zasady, skoro i tak jest bardzo duża szansa, że zacznie się ją stosować?

– Jestem zaangażowany w tę dyskusję od bardzo dawna. I właściwie nigdy nie słyszałem, by ktoś zapytał: „Po co nam ta technologia?”, „Na jaką potrzebę ludzi odpowiada?”, Czy możemy wyobrazić sobie sytuację, kiedy edycja genów jest rozwiązaniem czegoś?”. Jestem otwarty na argumenty, ale wydaje mi się, że nie. Po prostu mamy tę technologię i chcemy jej użyć. Bo to jest ekscytujące i daje ludziom moc.

Moc kontrolowania ewolucji.

– Tego chcą naukowcy czy przedsiębiorcy, ale czy to jest dobre dla ludzi? Czy będziemy mierzyć ryzyko w kontekście biomedycznym, czy w kontekście ludzkiej godności, celu życia człowieka? Ja sądzę, że powinniśmy się skupić na tym drugim.

Pozwalamy ludziom, którzy tworzą nowe technologie, zakładać, że to, co robią, jest dobre, dopóki ktoś im nie udowodni, że nie jest, i nie ukróci ich badań. A bardzo trudno jest tego dokonać, kiedy technologia jest już gotowa. I historia He pokazuje, jak poważny jest to problem. Moim zdaniem w ten sposób ludzkość się unicestwi. Nawet jeżeli nie będzie to oznaczać wyeliminowania gatunku, tylko życiową pustkę. Na przykład jeżeli rodzicielstwo stanie się projektem podobnym do zakupu samochodu albo pralki. To dehumanizacja, której nawet nie zauważymy, bo nie będziemy już wystarczająco ludzcy.

Co się stało z Lulu i Naną?

– Chiński rząd zebrał wszystkie informacje o eksperymencie, więc poznał też tożsamość ludzi, którzy wzięli w nim udział. Czy się z nimi skontaktował? Nie wiem. Wiem tylko od He i osób z jego otoczenia, że rodzice, kiedy zobaczyli, jak zareagował świat, byli przerażeni. Chcieli zniknąć, nie życzyli sobie, żeby ktokolwiek poznał ich tożsamość, żeby wyszło na jaw, że chodzi o ich dzieci. Z tego, co wiem, dziewczynki są zdrowe, a rodzice chcą po prostu żyć w spokoju.

Ale pojawiło się dużo żądań ze strony środowiska naukowego, żeby uzyskać dostęp do próbek krwi dzieci. Bo są jedynymi osobami poddanymi inżynierii genetycznej i powinniśmy je badać, obserwować efekty. Tylko czy to miałoby dobry wpływ na życie tych dzieci? Dla mnie to egoistyczna ciekawość. Jeżeli DNA dziewczynki będzie krążyło po świecie, trudno im będzie zachować anonimowość. To kolejny przykład tego, że chociaż technologię rozwija się w imię ludzkiego dobrostanu, dobro konkretnych ludzi jest na drugim miejscu.

Co teraz robi He Jiankui?

– Chiński rząd ostatecznie oskarżył go o to, że praktykował medycynę bez państwowej licencji. Spędził trzy lata w więzieniu i wyszedł rok temu. Ciągnie się z nim zła sława, ale jednak sława. Ludzie się nim interesują. Długo starał się wykombinować, jak wrócić do nauki. Uniwersytety w Chinach nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Na początku chciał założyć niezależny instytut badawczy, ale skontaktował się z grupą chorych na dystrofię mięśniową Duchenne’a, poważną chorobę genetyczną. Zadeklarował, że znajdzie taki sposób, żeby ją wyleczyć, w ciągu trzech lat, chociaż w ogóle nie ma doświadczenia w tym zakresie. Udało mu się zdobyć środki na badania, bo jest rozpoznawalny.

Uważam, że He powinien teraz cofnąć się o krok, nabrać pokory i poczucia odpowiedzialności. Niestety, nie robi tego. A mam wrażenie, że świat popycha go w przeciwnym kierunku, zastanawiając się: „Co tym razem wymyśli doktor Frankenstein?”. ●

Chińskie bliźniaczki urodziły się ze zmodyfikowanych genetycznie zarodków

Rozmowa „Dużego Formatu”

Odchylenie inteligencjki NA DWÓCH KRZESŁACH

Na studiach urządzono nam trzem formalny sąd za to, że nie przyjaźnimy się z kolegami pochodzenia robotniczo-chłopskiego

Z **JAROSŁAWEM ABRAMOWEM-NEWERLYM**
ROZMAWIA **ANNA ŻEBROWSKA**

W pana żyłach płynie krew polska, czeska, żydowska...

– I rosyjska. Mój ojciec był klasycznym mieszańcem: matka – Czeszka z domu Newerly, ojciec – rosyjski oficer Mikołaj Abramow. Mój pradziadek po kądzieli, Josef Neverly, był wielkim łowczym carskim w Puszczy Białowieskiej, cenionym przez Mikołaja II. Ma fotografię z carem. Pradziadka, dziadków ani babć nie znałem, niestety, umarli, zanim przyszedłem na świat.

Igor Newerly – pod takim pseudonimem zasłynął pański ojciec – uczył się polskiego już jako człowiek dorosły, a pisał wspaniałą, aforystyczną polszczyznę.

– Ojciec dorastał w Rosji, dokąd podczas I wojny ewakuowano rodziny carskich oficerów. Po rewolucji zaangażował się w obronę prawdziwego komunizmu, co opisał w książce „Zostało z uczyty bogów”. Aresztowany przez GPU zdołał uciec i pod koniec 1924 roku nielegalnie przekroczył granicę radziecko-polską na rzece Zbrucz. Pierwszą przystań znalazł u wuja Stefana Seferyniaka, leśniczego, który okazał się świetnym nauczycielem polszczyzny. Poprawiał ojcu wymowę i radził, by czytał dobre książki i uczył się na pamięć wierszy.

Mama, Barbara Szejnbaum, była osieroconą w dzieciństwie Żydówką.

– Jej rodzice i starsze rodzeństwo zmarli na gruźlicę, a mama trafiła do Domu Sierot doktora Korczaka na Krochmalnej i ten sierociniec stał się jej domem. Stefanię Wilczyńską uważała za swoją matkę, Janusza Korczaka za ojca. Była przez nich bardzo lubiana. Już będąc dorosłą panną, prowadziła tam zajęcia artystyczne, zaś mój tata zamieszkał w bursie Domu Sierot jako sekretarz doktora Korczaka – i tak rodzice się poznali. Ojciec nauczył się w Kijowie stenografii i Korczak go zatrudnił, bo on nie pisał książek, tylko je dyktował.

Pan znał ich oboje, Wilczyńską i Korczaka?

– Stefanię Wilczyńską nazywałem babcią Stefą. Pozostało po niej ledwie kilka fotografii i jedno z tych zdjęć, publikowanych na całym świecie, to ja z lusterkiem na jej kolanach. Korczak był wesołym, dowcipnym człowiekiem, a jak usłyszał dobry kawał, to go sobie notował. Pod choinkę 1941 podarował mi swoją książkę „Sława”, ten egzemplarz jest teraz w Korczakianum. Napisał: „Jarkowi”, dał strzałkę do tytułu: „Sława”, i podpisał: „Autor”. Zapamiętałem ich bardzo dobrze. Mama strasznie płakała, gdy z getta przyszła wieść, że Dom Sierot załadowano na Umschlagplatz.

Ojciec był z wami jeszcze wtedy?

– Tak. Aresztowano go w styczniu 1943 roku za udział w konspiracji. Po Pawiaku siedział na Majdanku, w Oświęcimiu, przeżył marsz śmierci do

oboju Sachsenhausen-Oranienburg – będąc inwalidą, z protezą prawej nogi. W Bergen-Belsen doczekał wyzwolenia. Wrócił pod koniec 1945 roku.

Mama nie poszła z panem do getta, przemieszkalicie całą wojnę na Żoliborzu.

– Gdy wybuchła wojna, miałem sześć lat. Ojciec zabronił mamie się przenosić i załatwił nam aryjskie papiery. Na podwórku nikt mnie zresztą nie przezywał „Żydem”, tylko „indycznym jajem”, bo byłem mocno piegowaty. Mamę wytropił jednak żydowski konfident i póki mogła – płaciła. Potem w rozpaczę zwierzyła się sąsiadom, a ci skontaktowali ją z Majorrem, który się u nich stołował. Wkrótce po rozmowie z nim szmalcownik zniknął na zawsze. Dopiero po wojnie dowiedzieliśmy się, że Majorrem był Witold Pilecki i to on uratował nam życie. Opisałem to w „Lwach mojego podwórka”.

Najcięższe wspomnienia...

– ...te z oblężenia Warszawy w 1939 i z powstania warszawskiego. Nasz dom przy Krasińskiego 16 ocalał, choć XIII klatka została zbombardowana. W IV klatce kwatrował sztab AK i komendant Żoliborza „Żywiciel”, czyli pplk Mieczysław Niedzielski. Pamiętałem go, jak kroczył przez podwórko, po cywilnemu, tylko na głowie miał powstańczy pierożek. Po upadku powstania ogromnie przeżyłem wyprowadzenie z piwnicy przez Niemców. Szliśmy dzisiejszą ulicą Próchnika wzdłuż ustawionych karabinów maszynowych, pewni, że nas rozstrzelają. Mama powiedziała: „Jak zaczną strzelać, nastaw się przodem, synku, żebyś nie cierpiał”. Potem w obozie w Pruszkowie przez trzy dni koczowaliśmy w hali fabrycznej, nim Niemcy zrobili selekcję. Wyprowadzali pojedynczo i gestapowiec mówił każdemu: „na prawo” albo „na lewo”. Czyli do Oświęcimia albo do Generalnej Guberni, na roboty. Mama prowadziła sąsiada – powstańca, który był w sile wieku i groził mu Oświęcim. Miał zabandażowaną głowę i rękę na temblaku, gestapowiec kazał mu iść na prawo. Ale ktoś Niemca zagadał, odwrócił się, a sanitariuszka przy nim szepnęła mamie: „Szybko na lewo!”. To okazało się wyzwoleniem. Mój przyjaciel Janusz Krasiński jako 16-letni chłopak też był tam razem z matką. Ją skierowano na lewo, ale ublażała żandarma, żeby pozwolili jej wrócić do oboju, odnalazła Janusza, razem znaleźli się w Oświęcimiu. On przeżył, matka zginęła.

Była radość, gdy wojna się skończyła?

– Były mieszane uczucia. Wszędzie widziało się radzieckich żołdatów z workami szabru na plecach i nawet my, dzieci, czułyśmy, że to nie będzie Polska taka, jak przed wojną, tylko „Polska ze Związkiem Radzieckim na czele” – tak mówiono w radiu i pisano w gazetach. Wkrótce zaczęły się oskarżenia wobec przedwojennego ustroju, drażniły nachalna propaganda i peany na cześć Stalina. Ojciec uciekł z ZSRR jako antystalinista i przed wojną publikował artykuły w rosyjskich gazetach mieniszewickich. Po śmierci Stalina czołowi literaci i wielcy artyści szlochali po Stalinie jak po własnym rodzicu, ale ojciec nie napisał

nekrologu, mimo że od połączenia PPS-u z PPR-em był w partii. Naczelny „Trybuny Ludu” Leon Kasman dwa razy dzwonił, prosząc ojca o wypowiedź, bezskutecznie. Mimo nacisków władz tata nie wspominał też Stalina w żadnym z wydań „Pamiętki z Celulozy”.

Trudno było iść drogą literatury, mając nad sobą cień wielkiego ojca?

– Żyłem przytłoczony jego nagłą sławą. Wszystkie powieści ojca czytano w radiu w odcinkach: „Chłopca z Salskich Stepów”, „Archipelag ludzi odzyskanych”, „Pamiętkę z Celulozy”... Jerzy Kawalerowicz sfilmował „Pamiętkę...”. Swoją wartość potwierdzałem w Studenckim Teatrze Satyryków (STS), gdzie występowałem jako Jarosław Abramow. Pisałem satyry, skecze, piosenki, dramaty sceniczne. Prozie oddałem się dopiero po wyjeździe do Kanady w roku 1985. Gdy się okazało, że jako śpiewak operowy nie rokuje nadziei, a śpiewanie w chórze mnie nudzi, chciałem zostać aktorem. Umówiłem się z kolegą szkolnym Marianem Jonkajtsem, że razem pójdziemy na egzamin, ale stchórzyłem. Zdałem na polonistykę i ją skończyłem, a Marian został aktorem.

Są wczesne lata 50.

– Studiowałem w nieciekawym okresie, kiedy życie młodzieży podporządkowano ZMP, a ZMP organizował radość, entuzjazm i liczne akademie ku czci, okropnie nudne. Miałem nadzieję, że studia pomogą mi znaleźć miejsce w życiu, ale na polonistyce wykładano już po marksistowsku. Na drugim roku Andrzej Jarecki, Jerzy Jackl, późniejszy wykładowca w Szkole Teatralnej, i ja dostaliśmy zarzuty o odchylenie inteligencjki. Urządzono nam formalny sąd za to, że obcujemy ze sobą i nie przyjaźnimy się z kolegami pochodzenia robotniczo-chłopskiego. A my po prostu mieliśmy ze sobą o czym rozmawiać. To był dobór naturalny.

Jak pan pamięta Październik 1956?

– Bardzo go przeżyłem, bo STS był w centrum wydarzeń. Tu krzyżowały się drogi różnych działaczy październikowych. Przychodzili Wiktor Woroszyński, Jan Strzelecki z reformatorskiego skrzydła partii i od nich znaleźliśmy sytuację polityczną. Pamiętam dramatyczny moment, gdy wojska radzieckie szły na Warszawę i mówiono, że Żerań pod wodzą Lechosława Goździka będzie się bronił. Studenci Politechniki Warszawskiej wiecowali, żądali usunięcia marszałka Rokossowskiego. Goździk przemawiał do nich w imieniu robotników, a STS wystąpił w auli Politechniki z programem „Agitka”.

To był spektakl rozrachunkowy?

– W słynnym skeczu Andrzeja Jareckiego „Ślepcy” grało dwóch aktorów z czarnymi przepaskami na oczach. Jeden nie chciał iść, ale drugi go przekonywał, że kroczą słuszną drogą, i prowadził. Była to aluzja do wypadków poznańskich i sygnał, że po zmianach nadal przewodzić będzie ślepiec. Był także mój skecz: dygnitarz partyjny prosił przez telefon o przysłanie mu do gabinetu robotnika, żeby się



• **Jarosław Abramow-Newerly (ur. 1933)**
– pisarz, dramaturg, autor tekstów piosenek, słuchowisk radiowych, kompozytor, syn pisarza Igora Nowego

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

nagrałem piosenkę, którą napisał wspólnie z kuzynem Romanem Orłowem, i był to debiut Wojtki jako tekściarza.

A z Januszem Głowackim jak się poznaliście?

– Głowacki to młodszy o pięć lat kolega ze szkoły. Kiedy na polonistyce miałem obowiązek praktyk szkolnych, wybrałem moją szkołę. Jedynekę TPD na Żoliborzu. Przeprowadziłem lekcję z X klasą, gdzie byli Janusz Głowacki, Maciej Wierzyński, Tomek Łubieński. Później Janusz Głowacki, który podobnie jak ja szukał swego powołania i nie mógł znaleźć...

Wyleciał ze szkoły teatralnej...

– ...przyszeli do nas, do STS-u, i grał. Między innymi zagrał w moim skeczu „Wędkarze”. Jak pamiętam, miałem wówczas najlepiej literacko obsadzony skecz: pierwszego wędkarza grał Głowacki, drugiego Łubieński, a trzeciego Jerzy Kumaniecki, później znany historyk.

Ma pan wykształcenie muzyczne?

– Chodziłem do średniej szkoły muzycznej, ale sam siebie nazywam kompozytorem gwizdany, według określenia Władysława Szpilmana. Wspólnie zasiadaliśmy w komisji literackiej Polskiego Radia, oceniając piosenki, a Szpilman przegrywał cały utwór. Jak mu się zapis muzyki nie podobał, krzywił się: „To kompozytor gwizdany, musi się jeszcze dużo uczyć”.

Często komponował pan muzykę do tekstów Agnieszki Osieckiej.

– Ciekawe, że Agnieszka, która zupełnie nie miała słuchu, pisała takie melodyjne teksty.

Przyjaźniliście się?

– Owszem, Agnieszka nawet zaproponowała, żebyśmy razem obchodzili imieniny, bo Agnieszki i Jarosława wypadło tego samego dnia. Przez pewien czas przychodziłem do niej i razem świętowaliśmy. Niespecjalnieśmy pili i jedli, nie tańczyliśmy, przeważnie gadaliśmy. Najlepiej zapamiętałem Agnieszkę z okresu, gdy była związana z Andrzejem Jareckim, z którym się bardzo przyjaźniłem.

Ale odmówił pan współpracy przy scenariuszu serialu o Osieckiej.

– Nie czułem się na siłach. Nie byłem wtedy w najlepszej formie, a wiedziałem, że trzeba będzie dopasowywać swoje pomysły do gustu telewizji, będą liczne poprawki reżyserów i wszystkich innych. Do telewizji to Wincenty Kadłubek powinien pisać, a nie ja.

Znam na pamięć gros piosenek z pana płyty autorskiej „Dopóki śpiewam ja”. Gdy w domu nuciłam „Serce mnie boli, serce mnie boli”, mama z kuchni odkrzykiwała: „To przestań palić papierosy!”.

– W STS-ie śpiewała to Hanna Rek. Była naszą czołową piosenkarką, potem żoną legendy wczesnego rocka Bogusława Wyrobka. Ale przypominę, że pani także śpiewa na mojej płycie „Lekcję miłości” z STS-u, i jest to moje ulubione wykonanie tej piosenki.

Dziękuję, Radiowe Studio Piosenki zadbało o świetny aranż i akompaniament... Słynnych „Okularników” umieścił pan na tej płycie w aż trzech wykonaniach.

– Pierwszą wykonawczynią „Okularników” była w STS-ie Kazimiera Utrata, na płycie śpiewa Zofia Kucówna – i są to interpretacje klasyczne. Po latach Anna Maria Jopek zaśpiewała to jazzowo, a wykonanie Tadeusza Łomnickiego chciałem pokazać jako ciekawostkę. Pochodzi z filmu Marka Nowickiego „Miłość z listy przebojów”. Marek, mój sąsiad z Żoliborza, wykombinował, że epizod profesora zagra u niego Łomnicki i zaśpiewa „Okularników”, bo to będzie coś znaczyć. Ale wstydził się zaproponować wielkiemu aktorowi epizod i zrobił ze mnie posłańca. Spotkałem się z Łomnickim w kawiarni Wilanowska i mówię: „Panie Tadeuszu, tak i tak, ale wstydzimy się, że to taka mała rola”. „Zaśpiewam »Okularników« – powiedział Łomnicki. – A wie pan dlaczego? Holoubek się wścieknie”.

„Okularników” uznano za hymn polskiej inteligencji, są też chyba najbardziej znaną pańską piosenką?

– Oprócz „Bohdan, trzymaj się!” Łazuki. „Piosenka o okularnikach” dostała nagrodę w Opolu na pierwszym festiwalu piosenki w roku 1963. Bardzo się ucieszyłem, bo w jury były takie znakomitości, jak Jerzy Waldorff i Stefan Kisielewski.

z nim pilnie zaprzyjaźnić... Liberalny I sekretarz KW PZPR Stefan Staszewski, który otwierał wiec na Politechnice, ostrzegł nas, że STS jest na czarnej liście natolińców, czyli dogmatycznego skrzydła partii, i w razie przewrotu radził nam nie nocować w domach.

STS ochrzczono przybytkiem rozczarowanych ztempowców.

– Wczesny „szturmowy” okres teatru opisałem w książce „Lwy STS-u”. Przebijając się przez cenzurę, wierzyliśmy, że ruszymy z posad bryłę świata. Szybko podcięto nam skrzydła i szturm przekształcił się w obronę swoich pozycji, nie zawsze skuteczną. Z pierwszych tekściarzy STS-u zostałem sam, Andrzej Jarecki, Agnieszka Osiecka, Witold Dąbrowski odeszli.

Wojciecha Młynarskiego nie przyjęliście, dlaczego?

– Wojtek chciał dla nas pisać, ale Ziemowit Fedeci i Andrzej Jarecki zawsze mieli jakieś zastrzeżenia i proponowali mu poprawienie tekstu. Wojtek się zdenerwował i zadebiutował w Hybrydach. Co do mnie, to prowadząc w radiu teatrzyk „Zwierciadło”,

*Zaśpiewam
„Okularników”
– zgodził się Łomnicki
– bo Holoubek
się wścieknie*

„Widzisz, mała, jak to jest” – kolejny szlagier spółki Osiecka – Abramow. Spopularyzowany wykonaniem Sławy Przybylskiej.

– Pochodzi z faktomontażu Andrzeja Jareckiego i Agnieszki Osieckiej „Oskarżeni” z 1961 roku, który reżyserował Jurek Markuszewski. Pierwszą część programu stanowiły autentyczne zeznania sądowe z różnych procesów, a podsądnych wspinała odgrywała Alina Janowska i Wojciech Siemion. Druga część była komentarzem śpiewanym kroniki kryminalnej. Napisałem 12 melodii do tekstów Osieckiej i Jareckiego. „Widzisz mała” śpiewała Alina Janowska, z nieruchomą twarzą, przejmująco. Po przedstawieniu Szpilman pogratulował mi muzyki. „Ale ja jestem kompozytorem gwizdany”. „Nie szkodzi, zdarzają się wyjątki”.

Janowska wspominała, że przedstawienie przez sześć lat nie schodziło ze sceny... Na płycie piosenkę „Widzisz mała” wykonuje też Krystyna Janda.

– Do spektaklu Krystyny Jandy „Biała bluzka” Agnieszka dopisała nowy, wzruszający tekst. Są tam dom dziecka i księżę nocy, z którym bohaterka idzie na dno... Janda pięknie to zaśpiewała.

„Kantatę o naszym mieście” przypominał kabaret Olgi Lipińskiej. „To my, to my, tylko my! Zakład oczyszczania-szczania miasta!”

– Zrobiliśmy w STS-ie cykl parodii różnych akademii ku czci. Oprócz „Kantaty” były tam „Oberek gazowniczy” („W naszej gazowni – oj dana, oj dana! Jest dużo gazu od samego rana”), piosenka „Urodziny naszej księgowej” i inne żartobliwe utwory.

„Anarchistyczny walc”?

– O, to cała historia! Piosenka pochodzi z mojego musicalu „Esmeralda, czyli Baśń Romantyczno-Kryminalna w trzech aktach”, którego w kwietniu 1958 roku nie puściła cenzura. To była pierwsza premiera STS-u w całości zdjęta przez Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk.

Po odwilży 1956 roku nastąpiły przygrozki?

– Niektóre piosenki z musicalu koledzy mimo to śpiewali, tej nie pozwolono. Dopiero Olga Lipińska, która reżyserowała w STS-ie i znała „Anarchistyczny walc”, wzięła go do kabareczku i piosenkę można było usłyszeć po raz drugi w dwa tysiące którymś roku... Na próbę generalną „Esmeraldy” przyszedli w 1958 roku elita naszej inteligencji oraz decydenci. Był minister oświaty Władysław Bierkowski, był Stefan Żółkiewski, minister szkolnictwa wyższego i naczelny „Polityki”, był minister kultury Włodzimierz Sokorski – i wszyscy oni bili brawo. A cenzura powiedziała: „Nie!”.

Co tam było takiego wywrotowego?

– Konflikt między obozem Cyganów a organizacją kominiarską Czarne Szczęście. Kominiarze chcieli spacyfikować obóz cygański za panujący w nim duch nieskrępowanej wolności. Cyganie bowiem śpiewali „Anarchistyczny walc”: „Nie ma króla, państwa i policji/ Idziesz sobie dokąd chcesz, gdzie chcesz /Chcesz pijany chodzisz po ulicy... Nie ma pracy, ani walki klas”...

„Możesz chodzić po urwistych skałach/ Możesz kopnąć w dupę generała” – od takiej anarchii gotów się rozpaść PRL „ze Związkiem Radzieckim na czele”!

– Zwłaszcza że miałem tam świetną obsadę: prezes organizacji kominiarskiej – Zbyszek Zapasiewicz, Cygan – przekornie – blondyn Wojtek Siemion. Tytułową Esmeraldą była Danuta Kowalewska. Ze 40 osób było na scenie STS-u, niczym na Broadwayu! Po spektaklu usłyszałem: „Gratulujemy, autorze, ale po coście pisali tak rozrachunkowo?”. Chodziło o aluzje do wypaczeń stalinowskich, o czym dużo mówiono po referacie Chruszczowa. Prezes Czarnego Szczęścia Zapasiewicz, skazany na śmierć,



• **STS. Od lewej: Jarosław Abramow, Zofia Góralczyk, Andrzej Jarecki, Agnieszka Osiecka, Jerzy Markuszewski i Marek Lusztig (1955 rok)** FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

zmarłychwstaje i śpiewa tango „Tych kilka słów przed rozstrzelaniem”.

Musical nigdy nie został zagrany. Bardzo to przeżyłem, bo już miałem sprawdzian z publicznością, że będzie wielki sukces... Najśmieszniejsze, że Sokorski mnie później spotkał i spytał: „No co, puścili wam? Nie?? O cholera!”.

Ale wierzył pan w Gomułę?

– Nie bardzo. Gomułka miał złą opinię jeszcze z pierwszych rządów, kiedy był taki zajadły przeciw demokratyzacji.

W 1956 roku to się krańcowo zmieniło, był uwielbiany przez społeczeństwo za to, że wymógł na Moskwie repatriację Polaków z ZSRR i wypuścił część więźniów politycznych. Przyjmowałem jego przeobrażenie sceptycznie, bo szybko wyłano mi na głowę kubel zimnej wody. Kiedy w listopadzie 1956 roku Gomułka był ledwie miesiąc u władzy, Zarząd Główny ZSP mianował mnie redaktorem naczelnym pisma „Od Nowa”, które miałem dopiero stworzyć.

Drugie pismo studenckie obok „Po Prostu”?

– „Po Prostu” się wylamało, przestało być organem ZSP, zlecono mi organizację nowego. W pierwszym numerze zamieściłem m.in. wywiady z twarogłowymi natolińszczykami: Witaszewskim, Nowakiem i Kłosiewiczem. Posłałem na te wywiady debiutujących w dziennikarstwie polonistów, m.in. Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego i Andrzeja Dobosza. Rozmowa Dobosza ze stalinistą Kazimierzem Witaszewskim, zwanym „generałem gazurką”, okazała się tak śmieszna, że tekst zrobił w środowisku karierę. Dołączyliśmy wkładkę z fotografiami radzieckich czolgów na ulicach Budapesztu i walczących z nimi Węgrów. Własne fotografie dostarczył nam Tomek Łubieński. Zamieściliśmy też złamany czerwony goździk oraz fragment książki Ferencza Molnára „Chłopcy z Placu Broni”, o śmierci Nemezcza. Do głowy mi nie przyszło, że studenci rozlepią tę wkładkę w miejscach stacjonowania wojsk radzieckich, że rozplakują całą Legnicę. Doszło to do Gomułki, a jednocześnie poskarżyli się trzej ośmieszni działacze komunistyczni. Gomułka jak zwykle dostał szału i kazał pismo zamknąć.

„Po Prostu” zamknięto niedługo po was, w październiku 1957... Gdzie pan pracował po studiach?

– Od roku 1960 w radiu, w redakcji Słuchowisk Radiowych Teatru Młodych, tam napisałem pierwsze swoje słuchowiska. I do STS-u nadal pisałem. Z nakazu pracy w wyznaczonym przez władze miejscu zostaliśmy zwolnieni wraz z Witkiem Dąbrowskim i Andrzejem Jareckim przez ministra Sokorskiego.

O, ja też miałam nakaz pracy.

– Myśmy napisali operetkę o nakazie pracy, Andrzej Jarecki ułożył bardzo śmieszne słowa o studentkach, co chciały dobrze wyjść za mąż i zostać w Warszawie, nie jechać na wieś. Ja napisałem wesołą muzykę pod Offenbacha. To się bardzo podobało i w 1955 roku Jerzy Jurandot przeniósł naszą operetkę na scenę Teatru Syrena, którego był dyrektorem. Ale wykonanie STS-u wydało nam się lepsze. U nas był autentyzm, a w Syrenie tylko udawano studentów.

Najszcześniejszy okres pana życia?

– Na pewno lata 60. Byłem jeszcze stosunkowo młody, a już – człowiek sukcesu. Udało mi się napisać dwie cieszące się powodzeniem sztuki teatralne: „Anioł na dworcu” i „Derby w pałacu”. Postanowiłem zrezygnować z pracy w radiu, bo mój podatek od tantiem wyniósł 33 tysiące złotych, tyle co moja roczna pensja redaktora w radiu. Do tego odnosiłem sukcesy kompozytorskie, jak ten w Opolu.

Z czego najlepiej żył literat w PRL-u?

– Z tantiem teatralnych i piosenkarskich. Dostawał z ZAIKS-u pieniądze za każde wystawienie sztuki i każde wykonanie piosenki i bardzo dobrze prosperował. Za tantiemy teatralne kupiłem mieszkanie na Filtrowej – trzy pokoje w starym budownictwie. Tyle że nie było windy. W roku 1973 wręczaliśmy w moim mieszkaniu składkową Niezależną Nagrodę Literacką Kazimierzowi Orłowskiemu, na którego był zapis cenzury i nie mógł nic publikować. Zaproszony Antoni Slonimski doszedł do drugiego piętra i przystanął zasapany. Powiedziałem, że spółdzielnia miała zainstalować windę w 1928 roku, ale dotąd jej nie ma. „To ja poczekam!” – odparł Slonimski.

Lata 70.?

– Wspominam jako twórcze dla siebie, gorzej było z realizacją sceniczną. Moją sztukę „Klik-klak” zagrano w 25 teatrach, a po latach wystawiono także w Pradze czeskiej. Później była sztuka „Darz bór”, gdzie więźniowie urządzają w więzieniu polowania i do zabawy wciągają strażnika. Teatr Polski w Warszawie nie dostał zgody na premierę, bo oficjalnie w Polsce nie było więzień. Ale cenzura w Poznaniu przepuściła „Darz bór” w tamtejszym Teatrze Polskim, potem w Krakowie wystawił to Jerzy Krasowski na małej scenie Teatru Słowackiego. Żaden teatr nie dostał jednak zgody na zagranie mojej sztuki „Skok przez siebie”, rozrachunkowej, o ZMP... No i ogłoszono stan wojenny.

Spędził go pan w Polsce.

– Byliśmy z ojcem członkami Kongresu Kultury Polskiej, który rozpoczął się 12 grudnia w Pałacu Kultury. W drugim dniu obrad

zastaliśmy na drzwiach Teatru Dramatycznego kartkę z informacją, że Kongres zamknięty do odwołania. Z moich przyjaciół z STS-u internowano Jurka Markuszewskiego, ale po trzech dniach zwolniono.

Pan się polityką nie interesował?

– Interesowałem się i interesuję, ale nie mam temperamentu politycznego. Podpisywałem petycje w sprawie wolności słowa, aktywnie się jednak nie angażowałem, bo byłem uzależniony od teatru. A każde zaangażowanie autora kończyło się zakazem grania sztuki. A oprócz „Esmeraldy” zdjęto mi w roku 1966 „Derby w pałacu” w Teatrze Polskim w Warszawie.

Czym „Derby...” zawiniły?

– Mój ojciec zaprotestował wtedy przeciwko nagonce na Leszka Kolakowskiego, był przesłuchiwany i złożył legitymację partyjną. Bojąc się podsłuchów, rozmawiał ze mną w garażu: „Synu, nadchodzą dla nas ciężkie czasy!” – uprzedził. Bodajże dwa tygodnie później zdjęto „Derby...” – po 60 przedstawieniach z kompletami. Zakaz wydał osobiście Zenon Kliszko, druga po Gomułce osoba w państwie. Poradzono mi napisać do niego list, że zostałem ukarany za nie swoje grzechy.

Syn za ojca nie odpowiada – mawiał Stalin, ale słowa nie dotrzymywał.

– Wezwał mnie kierownik wydziału prasy KC Wincenty Kraśko i powiedział: „My do tej sztuki nic nie mamy, ale zadecyduje Stanisław Witold Balicki, dyrektor generalny w Ministerstwie Kultury i Sztuki”. Okazało się, że Balickiemu źle się kojarzyła scena przesłuchania głównego bohatera Karbota przez ludzi podobnych do funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Ludwik René nieco to przereżyserował, nikt tego nie sprawdził i sztuka szła dalej.

Ostatnia, wydana w 2021 roku, pana książka „Piórem i pazurem” przenosi nas w czasy PRL-u.

– Powstała z wielkiej potrzeby podzielenia się portretami przyjaciół, nieżyjących już wybitnych pisarzy: Włodzimierza Odziejewskiego, Janusza Krasieńskiego, Jerzego Krzysztonia, Jerzego Sity, Władysława Terleckiego, Andrzeja Jareckiego, Marka Nowakowskiego, Janusza Wasylkowskiego. Jedynym żyjącym, którego opisałem, jest Kazimierz Orłoś. Pisanie o nich było ukojeniem, przypominałem sobie, jak wyglądali, co mówili, obcowalem z nimi, pisząc tę książkę w Toronto.

Jak pan dziś ocenia PRL?

– Chciałem pokazać, że życie w PRL-u nie było czarno-białe. Kultura niekiedy miała się lepiej: wystawiano eksperymentalne sztuki, po które dzisiaj teatr nie sięgnie, bo pewnie by zbankrutował. Moje pokolenie STS-u walczyło z narzuconymi radzieckimi wzorcami i w sumie wygraliśmy. Były ogólnie szanowane autorytety, a małą salę w Domu Literatury traktowano jak trybunę sejmową. Wszystko, co pisarze powiedzieli, było od razu nagłaśniane, a jeśli to było coś buntowniczego – autora szykanowały władze. Dziś trudno uwierzyć, że List 34 w obronie wolności słowa, który zawierał jedno niepokorne zdanie przeciwko polityce kulturalnej ówczesnych władz, wywołał w marcu 1964 roku prawdziwą burzę i spowodował represje. Dziś kultura się zamerikanizowała, a bezmyślne powielanie cudzego formatu zabiło polską piosenkę i inteligentny kabaret typu Dudek. System PRL-owski był okropny, absurdu straszne, ale wiele też zależało od konkretnych ludzi.

Na przykład?

– W 1983 roku szły próby mojego „Maestra” w Teatrze Polskim, gdy Dejmek powiedział, że urząd miasta nie zgadza się na scenę dyskusji Maestra z młodym skrzyptkiem Żmurko. Była to kluczowa scena sztuki. Poszedłem więc do Edwarda Krasowskiego, kierownika wydziału kultury Urzędu Miasta Warszawy i dawnego kolegi z STS-u.

Prześledziliśmy tekst i Krasowski zdecydował: „Proszę powiedzieć, że odpowiedzialność za tę scenę biorę na siebie!”.

Kim był Maestro?

– Prototypem był leciwy Artur Rubinstein, który zwierzył się światowej prasie, że stuletni jubileusz chciałby świętować w kraju urodzenia – Polsce. Akcję umieściłem w pałacu wilanowskim, gdzie mojego skrzypka Orlanda Steinberga (Ignacy Machowski) goszczą władze stanu wojennego. Goszczą, ale też izolują od starych przyjaciół: pierwszej żony Kseny, diwy operowej (Nina Andrycz), i dawnego rywala, przedwojennego generała i obrońcy Lwowa (Zdzisław Mrożewski). I od młodego skrzypka Żmurki (Mirosław Konarowski), który dostał stypendium im. Orlanda Steinberga. W końcu Żmurko zjawia się u Orlanda, ale zamiast grać, wyciąga z futerału ulotki „Solidarności” i prosi, by Maestro przewiózł je na Zachód. Dochodzi do rozmowy: czy lepiej jest zginąć jak Romuald Traugutt, czy kolaborować jak Henryk Wieniawski. Wieniawski był przeciwny powstaniu styczniowemu, ale dzięki muzyce rozślawił Polskę.

Ważkie pytania i wspaniała obsada sztuki.

– Ciekawa historia była z Niną Andrycz, bo jak dostała tę rolę, powiedziała do Dejmka: „Panie dyrektorze, ja nigdy nie grałam w epizodzie!”. „Jak to – w epizodzie?” – zdumiał się Dejmek. „No tak, jestem w drugim akcie, ale w trzecim mnie nie ma! Publiczność zdąży o mnie zapomnieć!...” Wtedy po naradzie dopisałem jej wejście w trzecim akcie. Wchodziła w futrze od Mao Tse-tunga, pamiętając wizyty z Cyrankiewiczem w Chinach, i mówiła: „Stara Warszawa to ja!” – po czym dostawała frenetyczne brawa.

Która z pańskich sztuk miała największe powodzenie?

– „Klik-klak”. I to zarówno w Polsce, jak i w Czechach. W Pradze, w Teatrze im. Buriana, w roku 1980 aktorzy powiedzieli, że po raz pierwszy od lat nie wstydzą się wychodzić na scenę. Bo od inwazji 1968 roku grali tylko socrealistyczne kicz. A premiera polska odbyła się w 1972 roku w Starym Teatrze w Krakowie za dyrekcji Jana Pawła Gawlika. W roku 1980 Gawlik przeniósł „Klik-klak” na mały ekran i wymógł, by główną rolę Kornelii zagrała Maria Malicka, aktorka o tragicznej historii. Za rzekomą kolaborację z Niemcami ZASP ukarał ją zakazem występów na scenach stołecznych. Niesłusznie. W Krakowie Malicką uwielbiano i była znakomitą Kornelią. W telewizji jej trzech byłych mężów zagraли: Jan Świdorski – pułkownika, Henryk Borowski – dyplomata i Bronisław Pawlik – działacza komunistycznego w PRL-u.

Od niemal 40 lat żyje pan na dwa domy – w Warszawie i w Toronto.

– Motorem wyjazdu w roku 1985 była praca naukowa żony, Wanda była biologiem molekularnym i wirusologiem. Dostała w Kanadzie stypendium podoktoranckie i pracę w Kingston University. Pojechałem z nią i pięcioletnią wówczas Marysią, licząc, że to będzie rok, najwyżej dwa.

To w Kanadzie był pan na utrzymaniu kobiety?

– Staralem się pracować. Nawiązałem współpracę z dziennikiem Związku Polaków „Związkowiec”, pisałem im felietony o panu Zdzichu. Płacili marnie, 50 dolarów kanadyjskich za felieton, ale pisałem po osiem miesięcznie i w ten sposób zarabiałem na komorne. Prototyp bohatera spotkałem na lekcjach z angielskiego w Toronto. Były to darmowe zajęcia w kościele z kanadyjskimi nauczycielkami. Wraz ze mną chodził Polak, który wszystko wiedział najlepiej i z wielu rzeczy w Kanadzie pokpiwał. Napisałem felieton, spodobał się i tak powstał cykl, który wyszedł później w książce „Pan Zdzich w Kanadzie”. A kiedy zasiadłem do „Aliantów”, to Krzysztof To-

polski, emigrant marcowy i motor napisała przeze mnie tej rzeczy, załatwił mi stypendium, 1000 dolarów miesięcznie. Płacił je właściciel punktu sprzedaży używanych samochodów, Grek, którego Krzysztof przekonał, że powstaje scenariusz filmowy do Hollywood, więc warto we mnie zainwestować na poczet przyszłych tantiem. Grek prawie rok płacił, ja pisałem.

Łebski kolega i ambitne plany!

– Bardzo mi wtedy Krzysztof pomógł, zrobił całą dokumentację historyczną. Ale materiał się rozrósł i zamiast scenariusza wyszła powieść. Chciałem ją wydać po angielsku, pod pseudonimem, ale jak przewiozłem maszynopis do Polski, był rok 1990, komunizm upadł i wydawnictwo Versus Białowieża wydało „Aliantów” w nakładzie 150 tysięcy egzemplarzy.

A co z Hollywood?

– Zabawne, bo byliśmy o włos! „Aliantów” przełożyła na rosyjski świetna tłumaczka Ester Gessen jako „Sojuzników”. Przeczytał ich moskiewski producent filmowy Walery Ruzin i zainteresował producenta z Hollywood. Mieli to robić w koprodukcji. Proces ruszył, Ruzin przyleciał na rozmowy ze mną i Topolskim, potem amerykański scenarzysta przysłał mi dwie czy trzy sceny, ale na tym się skończyło. Za Jelicyną, kiedy była największa demokracja, nie znaleźli pieniędzy. Zaś w Rosji putinowskiej temat przyjaźni z Zachodem nie miał szans.

W Kanadzie uprawia pan życie literata?

– Tak, mam spotkania autorskie i satysfakcję, że będąc w depresji, potrafię jeszcze rozbawić publiczność, zainteresować ją. To bardzo podnosi na duchu. Współpracuję z aktorką Marią Nowotarską, która robi piękną robotę kulturalną wśród Polonii i wystawiła dwie rewie piosenek.

Swoich sztuk nie próbował pan przenieść za ocean?

– Liczyłem po cichu, że wystawię w Kanadzie „Maestra” po angielsku. Pojechałem do Nowego Jorku i pokazałem Eli Czyżewskiej przekład, który zrobił znajomy rusycysta. Uznała, że to sztywny język, nikt tak nie mówi. Rozmawiałem też z Januszem Glowackim, który akurat odniósł sukces na Broadwayu, spytał mnie, ile postaci występuje u mnie na scenie. „Dwanaście? To zapomnij! Do pięciu osób może ci wystawią, ale dwunastu aktorów żaden teatr nie udźwignie”. Moja żona zachorowała i w 2016 roku umarła, córka wyszła za mąż i mieszka w Waszyngtonie. Ja zaś od 38 lat siedzę na dwóch krzesłach – w Toronto i w Warszawie. Strasznie się boję przeprowadzki, powiem pani. Mam tam pianino, mnóstwo książek, całe mieszkanie. Podobnie jak w Warszawie. Co z tym wszystkim robić?

Ma pan jeszcze w Polsce dwie córki z pierwszego małżeństwa, Basię i Magdę, obie są zakonnicami w Zgromadzeniu Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Czy w domu był nacisk na religię?

– Nie było. Decyzja córek była dla mnie ogromnym zaskoczeniem, a wytłumaczyć ją mogę tylko powołaniem, głębokim powołaniem, które prawdziwie podziwiam.

17 maja skończy pan 90 lat, „piękny wiek”, jak mówią, a jakie ma zalety?

– Jedyną zaletą jest doświadczenie życiowe, które pomaga w wielu sprawach. Dobra jest możliwość obeerzenia się za siebie, wspomnienia przyjaciół – obecnych albo już nieobecnych. Na ogół starość jest jednak smutna. Czasem jestem zadowolony z pisania. Początek jest zawsze bardzo trudny, ale jak już zacznie i piszę, wtedy uciekam od codziennych trosk w pisaniu. Jestem szczęśliwy, kiedy jestem w towarzystwie bliskich ludzi. Kobiety nadal mi się podobają. Od przedszkola bardzo lubiłem kobiety. Nadal je lubię. ●

Wydawnictwo
Agora

WSZYSTKIE WOJNY IZRAELA

Nowa książka
Konstantego Geberta

KONSTANTY GEBERT
POKÓJ
Z WIDOKIEM NA
WOJNĘ
HISTORIA IZRAELA

„Barwna opowieść o Izraelu, bez lukru i bez prześlizgiwania się nad najtrudniejszymi dylematami. Fascynująca lektura.

MACIEJ KOZŁOWSKI,
Dyplomata, były ambasador RP w Tel Awiwie

Niesamowicie prowokująca
i zmusza do myślenia. Prawdziwy
majstersztyk.

DR LAURENCE WEINBAUM,
Redaktor Naczelny,
„The Israel Journal of Foreign Affairs”, Jerozolima

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ EBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Finaliści 14. edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego

ILONA WIŚNIEWSKA

Wszystko jest opowieścią

Dla mieszkańców Północy bardzo ważne jest wiedzieć, że rozmawiają z kimś, kto rozumie, czym jest zimno

Wój pierwszy reportaż? Spitsbergen, rok 2010. Dopiero się przeprowadziłam na tę zimną wyspę i – nie mając żeglarskiego przygotowania – zostałam drugą i ostatnią po kapitanie członkinią załogi na polskiej łódce „Eltanin”. Rejs stał się przyczynkiem do opowieści o ludziach Północy, polskim polarnictwie w tych regionach, dość uniwersalną historią o poszukiwaniu innego życia. Napisałam tekst, zrobiłam zdjęcia, wysłałam do „Polityki”, redaktor Leszek Będkowski odpisał, że kompletnie się nie nadaje, ale ma urok, więc możemy nad tym popracować. I kilka tygodni później reportaż ukazał się w dziale „Na własne oczy”, a ja nie mogłam uwierzyć moim, że to się naprawdę ukazało (w moim rodzinnym domu „Politykę” czyta się od wielu lat, pamiętam telefon od mamy tego dnia – nic wcześniej nie wiedziała o publikacji).

Najtrudniejsza chwila w pracy?

Inny telefon. Tym razem nad ranem, z domu dziecka Uummannaq w Grenlandii, że osiemnastoletni bohater mojej książki – Gert – odebrał sobie życie. Najtrudniejsze były bezsilność, że się nie potrafiło temu zapobiec, natrętne wewnętrzne pytania, czy można było coś zrobić, niemożność pożegnania. To dlatego, kiedy dwa lata później nadarzyła się okazja, polecałam na północ Grenlandii, do miejsca, za którym tak tęskniłam, z zamiarem napisania książki o jego ludziach. Ten najtrudniejszy moment stał się więc przyczynkiem do czegoś – mam nadzieję – pożytecznego.

A najprzyjemniejsza?

Spotkania z czytelnikami. To, kiedy można wreszcie uściskać im dłoń, spojrzeć w oczy, zamienić kilka zdań. Za każdym razem jestem pod ogromnym wrażeniem tego, jak wspaniali ludzie czytają te książki. To są te momenty, kiedy po spotkaniu wychodzisz na zewnątrz z wypiekami na twarzy, dzwoniisz do domu i mówisz: „Co za wspaniałe dzieło”.

I jest jeszcze jedna ogromna przyjemność: kiedy po każdej książce (mimo że rozmawiamy na bieżąco) przychodzi SMS o treści: „Przeczytałem. Jestem z Ciebie dumny. Tato”.

Jak otwieram bohatera?

Najpierw otwieram siebie. Staram się tak dysponować czasem, by się nie spieszyć, dostosować do północnego tempa. Dzięki temu mam czas opowiedzieć bohaterom



TOMASZ ADAMOWICZ / FORUM

coś o sobie, o swojej pracy i motywacji. Dla mieszkańców Północy bardzo ważne jest wiedzieć, że rozmawiają z kimś, kto rozumie, czym jest zimno, szanuje ich sposób życia. W północnej Norwegii zdarzyło mi się odśnieżać przed domem bohaterki, która była do mnie sceptycznie nastawiona (bała się, że jej ukradną łopatę), ale zazwyczaj po prostu obserwuję, nie narzucam się. I coraz lepiej wychodzi mi nieprzerwanie pożytecznej ciszy.

Książka, która mnie zmieniła...

Nie ma jednej takiej książki. Rezonuje we mnie wiele zdań, scen, opowieści z wielu lektur. Noszę je w sobie jak historie moich bohaterów i mam nadzieję, że dzięki temu ciągle się rozwijam.

Czego reporterowi nie wolno?

Naginać rzeczywistości. Oceniać.

Gdy byłam dzieckiem, marzyłam o...

...poznawaniu świata i pisaniu książek.

Dzisiaj jestem dorosła, marzę o...

...dalszym poznawaniu świata i pisaniu potrzebnych książek.

Ilona Wiśniewska

(ur. 1981) – reporterka i fotografka, współpracuje z „Dwutygodnikiem”, „Polityką” i „Dużym Formatem”. Autorka książek „Białe. Zimna wyspa Spitsbergen”, „Hen. Na północy Norwegii”, „Lud. Z grenlandzkiej wyspy” oraz „Migot. Z krańca Grenlandii”, a także opowieści dla dzieci „Przyjaciel Północy”. Mieszka w północnej Norwegii.



Odpoczywam, gdy...

...praktykuję jogę albo chodzę na całonocne techno. Joga i taniec wprowadzają mnie w trans, a tylko wtedy potrafię się wyłączyć.

Nie mogę się pogodzić z...

...okrucieństwem wobec słabszych, głównie zwierząt.

Czy reporterem się jest, czy tylko bywa?

Na jednym z budynków w Vardø, ostatnim mieście północnej Norwegii, jest mural z napisem: „Everything is a story”, i wierzę, że tak właśnie jest. Wszystko, co mnie otacza, może być materiałem na opowieść. Znajomi śmieją się, że w końcu na każdego z nich przyjdzie pora, by zostać bohaterem któregoś z moich reportaży. Myślę więc, że reporterem się jest i trudno wyjść z tej roli, bo nawet gdy jest się na wakacjach, podskórnie szuka się historii, uważnie przygląda otoczeniu.

Dziennikarstwo dziś to...

Trudno mi odpowiedzieć na tak szeroko zadane pytanie. Mam nadzieję, że w przyszłości nadal będzie tworzone przez ludzi i oparte na spotkaniach z innymi ludźmi, przeżyciach, a nie przez algorytm.

Cena, którą płacę za bycie reporterką, to...

To raczej przywilej niż cena, możliwość bycia w ruchu, poznawania ciekawych ludzi, otwartości na zmiany. Jeśli myśleć o cenie, to płacę ją głównie za życie w odaleniu od moich rodziców i przyjaciół w Polsce. I jest nią niekończąca się tęsknota i obawa, że umknie mi coś ważnego, że nie będzie mnie w momencie, kiedy będą mnie potrzebowali. ●
Pytała Zuzanna Bukłaha

OGŁOSZENIE

**NAGRODA
im. RYSZARDA
KAPUŚCIŃSKIEGO**

ORGANIZATOR I FUNDATOR NAGRODY



Warszawa

WSPÓŁORGANIZATOR

wyborcza.pl

PARTNER

KSIAZKI

34242496

1 RP

Z wysokiego C matura z polskiego

Iwasiów



Wypoczęta po leśnej majówce czekam na tematy maturalne, żeby wziąć je do felietonu. Coroczny pewniak, otwarta brama szydery.

Pierwszy przeciek – do wyboru dwa tytuły wypracowań na trzysta wyrazów, z odwołaniem do przynajmniej dwóch lektur obowiązkowych: „Człowiek – istota pełna sprzeczności”; „Co sprawia, że człowiek staje się dla drugiego człowieka bohaterem”. Dużo człowieka i jeszcze istota, brakuje tylko ludzkości. Nie ma społeczeństwa, ale pewnie pojawi się w teście. Liczę też na różne fundamentalne zasady i niezbywalne obowiązki – pomogą zaliczyć.

Lektur obowiązkowych na poziomie podstawowym mamy na liście dwadzieścia pięć. Dużo to czy mało, zależy od koncepcji celu edukacyjnego wyrażonego w podstawie programowej. Podstawa ta jest tworem nieco tajemniczym, albowiem nie wiadomo dokładnie, kto ją opracował. Autorstwo jest chronione z powodu wysokiego ryzyka ponoszonego przez specjalistów określających konkretnie: ile czego uczyć. Lud uczniowski-rodzicielski mógłby te osoby hejtować. W obecnym stanie półtajności możemy dywagować w przestrzeni w stylu Don Kichota. Za spisem lektur, zwanym kanonem, stoją koncepcje człowieka, istoty odpowiednio formowanej zgodnie z wizją, choć nie wiemy czyją i niemal nigdy nie naszą. Byłoby wielkim uproszczeniem twierdzenie, że idee do zakucia autorzyują ad hoc minister lub dyrektor Państwowej Komisji Egzaminacyjnej. Są oni raczej, że tak powiem, emanacjami złożonego bytu. Naturę tego bytu determinuje rozdarcie między tradycją a nowoczesnością. Między: my czytaliśmy i dobrze było – oni nie czytają. Ja po nocach tysiąc stron – teraz wszystko jest w internecie. Bez czytania wspólnota zginie – potrzebne są inne kompetencje. A ponadto chodzi oczywiście o idee, ideologie i bieżącą politykę.

Dyskutować i teoretyzować na temat programu języka polskiego każdy może, bo albo zaznał w przeszłości, albo cierpi obecnie, albo ma dzieci. Taka sytuacja nazywa się według słownika uniwersalną i można by z niej uczynić temat rozprawki. Dyskutujemy, podobno niektóre/niektórzy nawet współpracują z okręgowymi komisjami egzaminacyjnymi szykującymi supertajne zadania, ale być może te wieści są przesadzone. Podejrzenie takie nasuwa fakt, że matury są wciąż jakby nie z tego świata, jakby się objawiły bohaterowi romantyczno-pozytywistycznemu na jakimś niebotycznym szczyście.

Postanowiłam się wdrapać na ten szczyt od zaplecza i sprawdzić dzieje arkuszy egzaminacyjnych. Zagadnęłam profesora, wysokiej klasy eksperta Centralnej Komisji Egzaminacyjnej. Opisał mi proces przygotowania arkusza. W CKE pracują osoby z doświadczeniem nauczycielskim lub akademickim. Do współpracy zapraszanych jest wielu spoza tego, hierarchicznie zorganizowanego, ciała. Choć angażuje się duża reprezentacja „przedmiotowców” i metodyków (zasady dotyczą wszystkich przedmiotów egzaminacyjnych na wszystkich poziomach nauczania), ostateczne skreślenia należą do urzędników na dyrektorsko-kierowniczych stanowiskach.

Procedura tworzenia arkusza trwa trzy-cztery lata, a więc w założeniu nie stanowi bezpośredniej odpowiedzi na jakiś najnowszy trend. Najpierw współpracownicy okręgowych komisji egzaminacyjnych (jedna przypada na kilka województw) piszą propozycje tzw. wiązek zadań. Są one wstępnie selekcjonowane, redagowane przez kolejnych lektorów. CKE powołuje zespoły eksperckie, które nicują każdą wiązkę, zanim zostanie skierowana do próbnego zastosowania. Testuje się zadania na wybranych szkołach/uczniach. Te, które okażą się z jakichś powodów wadliwe, a więc na przykład zbyt rzadko zostają dobrze rozwiązane ze względu na niezrozumiałość lub stopień trudności, odpadają. Reszta, po kolejnych poprawkach, trafia do banku zadań. Stamtąd pobierane są do wystandaryzowanego arkusza – sprawdzającego różne umiejętności stanowiące odzwierciedlenie tego, czym kierują się nauczycielki/nauczyciele realizujący podstawę programową. W końcu arkusz zostaje zrecenzowany przez kilka powołanych osób i trafia po ostateczną pieczęt-

kę do dyrektora Centralnej Komisji Egzaminacyjnej. Następuje faza tajne przez poufne, plombowanie, strzeżenie. Jest to więc metodologicznie i organizacyjnie tyleż poprawne, co skomplikowane. I podatne na interwencje – gdy pojawi się polityczna deklaracja miłości do maturzystów lub jakieś zadanie wyda się potencjalnie kontrowersyjne. W tym roku ograniczono listę lektur, ale nie wiemy, jakie pytania czy fragmenty zostały ocenzone, by matura pasowała do roku przedwyborczego.

Tymczasem coraz częściej pada pytanie, czy pasuje, wraz z podstawą programową i spisem lektur, do epoki galopujących, wszechobecnych technologii i odczuwanego na każdym kroku wypalenia antropocenu.

W dozwolonych, a nawet lubianych dyskusjach jedni oddadzą życie (nie swoje) za skarby literatury polskiej, inni orzekną, że ich miejsce jest w lamusie. Jedni bezlitośnie zażądają od młodych zapoznania się z arcydziełami, inni podliżą się tezą o przestarzałości przeszłości.

Po godzinie czternastej Centralna Komisja Egzaminacyjna upublicznia całe arkusze. O tej porze spada mi cukier, więc z niejakim wysiłkiem rozwiązuję test historycznoliteracki, wymagający czytania ze zrozumieniem – fragmentów dzieł oraz intencji egzaminatorów. To pożyteczna umiejętność, ale nie oszukujmy się: nie potrzeba do niej dwudziestu pięciu obowiązkowych pozycji, o uzupełniających nie wspomnę.

Wracam do tematów rozprawek. Wieje z nich, przepraszam zespoły ekspertów, nieznośną sztucznością i bezmierną nudą. Ciągnie po krzyżu nadzieją na wysokie wyniki, ponieważ, jak stwierdziła moja znajoma, „coś tam, coś tam w prozie i poezji”, dwa akapity i z głowy. Ziewam na Facebooku i zbieram niemało solidarnych ziewów. Kto chciałby w ten pogodny dzień snuć tak górne i chmurne dywagacje? Dobrowolnie zapewne niewielu, ale czyż nauka nie jest zdrowym przymusem? Urabianiem do życia? Coś tam, coś tam na tle z użyciem przykładów – zawsze się uda, nada i przyda. A przy okazji zamordujemy rytualnie – pożyczam wpis koleżanki – literaturę. Mord rytualny w teorii René Girarda pełni ważne antropologiczne funkcje. Stanowi przesilenie, oczyszcza, przywraca porządek. Skoro mamy w Polsce lubiącej mocne podziały dwie frakcje – obrońców kano-

nu i zwolenników uwolnienia czytania aż po nieczytanie – pogodzić nas może utłuczenie resztek książkolubstwa w rytualnym egzaminie dojrzałości. Abiturienti tudzież abiturientki, wydawszy z siebie poprawne co najmniej trzysta słów na jeden z banalnych, niepowiązanych z rzeczywistością tematów i rozwiązawszy test na ogólną inteligencję, dowiedzą się, czemu służy literatura: pustej wzniosłości.

Nie należę do frakcji radykalnej. Uznaję, że w szkole warto podtrzymać (negocjując szczegóły) kanon, choćby po to, by w kolejnym pokoleniu poznać ludzi z przeszłości, podejmować informacje z butelek rzuconych nam dziesiątki i setki lat temu. Nie jestem entuzjastyczną modernizatorką, która zastąpiłaby wiersze grammi komputerowymi. Większy mój opór niż zabytki staropolszczyzny budzi pomysł, by jako przykłady kultury współczesnej omawiać powojenną piosenkę literacką Ewy Demarczyk, Jacka Kaczmarskiego, Wojciecha Młynarskiego, Agnieszki Osieckiej i Kabaretu Starszych Panów. Kultura dawno nieżyjących przodków da się omawiać w kategoriach wiedzy podobnej do tej przyswajanej podczas lekcji biologii. Balladowa twórczość dziadków i babć może się okazać bardziej od staropolszczyzny anachroniczna, bo porównywana z nawijką raperów. W końcu niewielu czytuje do poduszki poematy – wielu słucha muzyki.

Specjaliści i specjaliści od dydaktyki chętnie podkreślają, że szkolne czytanie powinno służyć autorefleksji, zapoznawać z postawami. Pomagać żyć, a w pierwszym rzędzie – mówić i pisać. Diabeł tkwi w szczegółach, bo choć wszyscy, w tym urzędnicy edukacyjni, mniej więcej zgadzają się w sprawie tych celów, mają rozbieżne wizje wniosków, do których powinny prowadzić lekcje polskiego. Nawet gdy w grę nie wchodzi przepychanki polityczne i nie zamieniamy bohatera-rewolucjonisty na bohatera-świętego, utrwalamy przekonanie, że autorefleksja musi być z wysokiego C, jakby niczym niżej granym nie zajmowali się ludzie. I tak przebiega mord rytualny, upodręcznikowanie sztuki, alienacja maturzystów i maturzystek. „Współczesna Polska”, skomentował mój ulubiony poeta, na razie spoza szkolnego kanonu.

Inga Iwasiów

POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK &
RAFAŁ SKARŻYCKI

ZASTANAWIA MNIE TYLKO JEDNO:
JEŚLI ZASTĄPIMY PRACOWNIKÓW
SZTUCZNĄ INTELIGENCJĄ, TO SKĄD
BĘDĄ MIEĆ PIENIĄDZE, ŻEBY
KUPOWAĆ NASZE PRODUKTY?

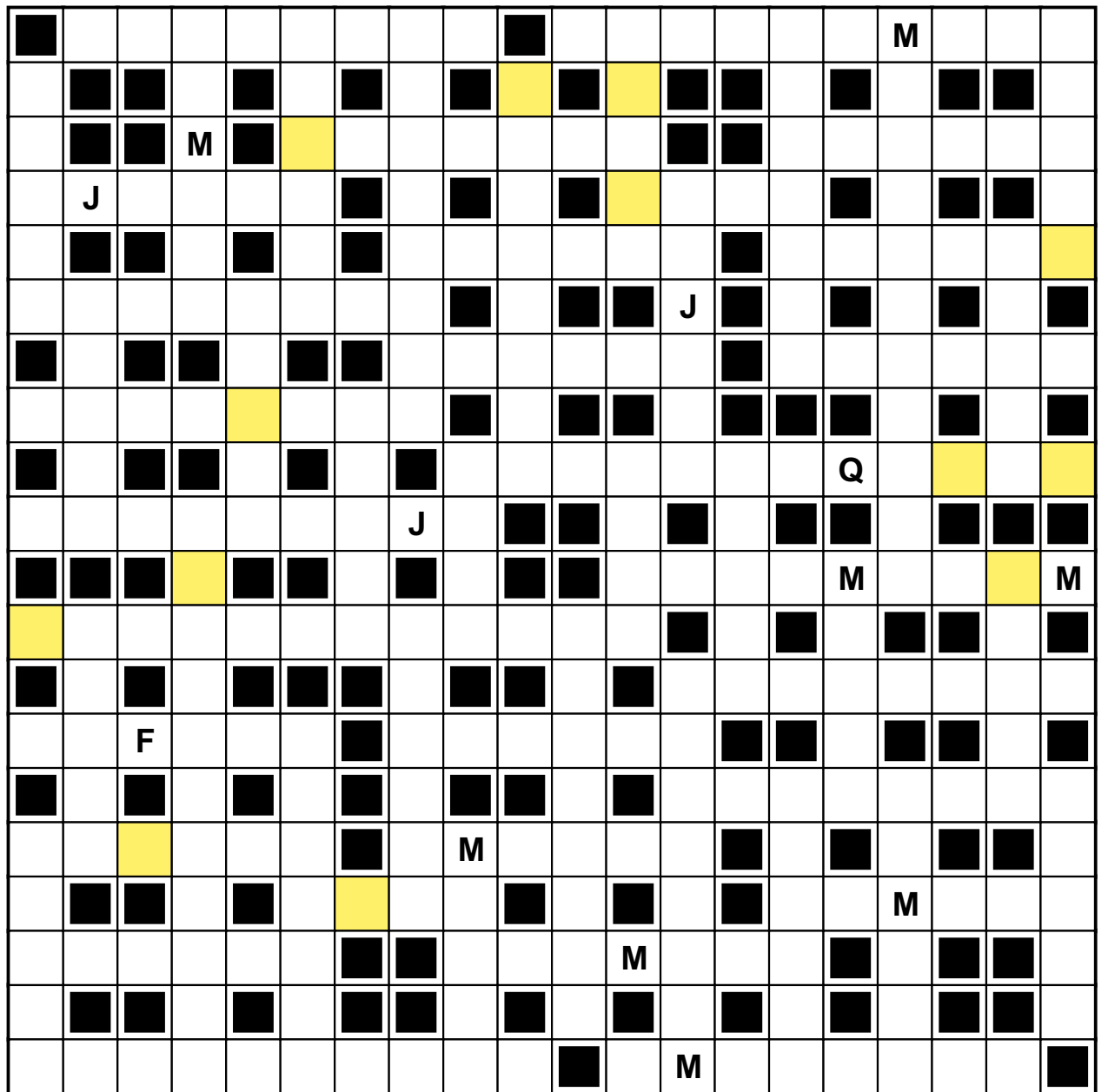


jolka

50

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery F, J, M, Q. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- „A ty noś, noś, noś długie ... jak my”
- „A w polskim filmie, proszę pana, to jest tak: ...”
- absolwent politechniki
- agent ... Cooper, postać z serialu „Miasteczko Twin Peaks”
- akustyczne albo kin
- amerykański pocisk kierowany ziemia-powietrze
- Batman – Bruce, Spider-Man – Peter, Superman – ?
- Brygada ... („To, co czujesz”)
- byt określa ... (a może odwrotnie?)
- córka Elronda, ukochana Aragorna (w powieści Tolkiena)
- dawniej: dom dziecka, ochronka
- ... galijski, kojarzony jako symbol Francji
- gwóźdź z szeroką główką
- hula-hoop globusa
- idzie z góry
- intencja, projekt, plan
- Japonka bliska Johnowi Lennonowi
- klawisze i ..., przyciskane przez akordeonistę
- ... kliniczny choroby (czyli ogół jej objawów)
- Laotańczycy lub Lankijczycy
- ... Lear, nagrała piosenkę „Follow Me”
- miedź brzęcząca i ... brzmiały, w biblijnym hymnie o miłości
- ... Mucha, czeski malarz i grafik
- nazwisko na tabliczce na drzwiach domu Kubusia Puchatka
- nazwisko Zofii z wiersza Juliusza Słowackiego
- Nick, nagrał płyty „Murder Ballads”, „Ghosteen”
- niespokojne – w serialu o pancernych
- oglądalności lub ogrodzeniowe
- państwo w Mikronezji (stolica: Ngerulmud)



- perski władca, który kazał biczować morze
- pionowa ściana skalna; urwisko
- piosenka zespołu T.Love („Zabieram cię do baru...”)
- placek biszkoptowy z bakaliami; keks
- poradnik, informator
- potocznie: żyłka, zdolność do czegoś
- prowadzony między bandami
- przebój Abby (młoda, słodka, siedemnastoletnia)
- przepływa przez Maków Mazowiecki
- ptak kojarzący się z cyklem powieści „Igrzyska śmierci”
- skrzynia do przetrzymywania żywych ryb (w wyrażeniu „posadzkarz”)
- słynny kabaret w paryskiej dzielnicy Montmartre
- Stallone – Sly, Schwarzenegger – ?
- stan, którego gubernatorem był Bill Clinton
- stroni m.in. od srebra i czosnku

- szmaciak gałęzisty lub helmówka jadowita
- ... Śnieżnika
- „Tu Ryba, wzywam cię, ...” (cytat z „Kilera”)
- w katolicyzmie: całkowite odejście ochrzczonego od wiary
- Wciąż świetny tenisista
- werbowanie ochotników do wojska
- „Wędrowni ... fotograficzny”, reportaż Agnieszki Pajązkowskiej
- wieża obronna w obrębie zamkowych murów; donżon
- Wojciech, zagrał Wilczka w filmie „Ziemia obiecana”
- wykonywały piosenkę „Jak dobrze mieć sąsiada”
- wyraz taki jak „koteczek” lub „mamiunia”; zdrobnienie
- wysłał sobie walentynkę
- zamawiane u ebenisty
- złodziejka mleka z serialu „Alternatywy 4”

Rozwiązanie z poprzedniego numeru: Klasyka dramatu.

Rzędami: Eskulap, specyfik, ostrze, Belgrad, Narie, kupiec, szkic, jezioro, plac, konwisarz, szpas, posyłki, kiecki, indygo, Praga-Północ, kochankowie, Renoir, gejzer, druczki, Alban, Kydryński, Apis, intryga, smoła, zoolog, rysie, Ukraina, karcer, wyznanie, Diablak.

Kolumnami: kijki, Stevens, gryzmoły, zadęcie, lordoza, zmywarka, spodnie, podkop, rosyjski, lustro, Stupka, widliszek, chłopci, rekuza, encyklika, piloci, grizli, poradnik, Sigurd, imperia, Cheshire, latarka, konsola, iskiery, nagonka, ochra.

Miej oko na jolkę

W aplikacji **KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ** znajdziesz więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo**



KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34182171

Redaktor prowadzący: Ariadna Machowska. **Zespół:** Ludmiła Anannikova, Katarzyna Bielas, Zuzanna Bukłaha, Mariusz Burchart (red. naczelny), Piotr Głuchowski, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Kalicki, Tomasz Kwaśniewski, Paweł P. Reszka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Szczygiet, Aleksandra Szyfko, Katarzyna Włodkowska, Marcin Wojcik, Aleksandra Zbroja, Anna Żebrowska. **Piszą dla nas:** Katarzyna Brejwo, Maciej Czarniecki, Magdalena Grzebałkowska, Urszula Jabłońska, Bartosz Józefiak, Ewa Kaleta, Anna Kiedrzynek, Michał Kokot, Oktawia Kromer, Damian Maliszewski, Iza Michalewicz, Wojciech Orliński, Ewa Pagowska, Renata Radłowska, Agnieszka Rodowicz, Joanna Strzałko, Violetta Szostak, Grzegorz Szymanik, Ewa Winnicka, Mirosław Wleki, Ewa Wołkanowska-Kotodziej. **Grafik:** Jacek Konarowski. **Projekt magazynu:** Jacek Utko. **Fotoedytor:** Rafał Wojciechowski. **Korekta:** Klaudia Smulska. **Adres redakcji:** ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa. tel. 22 555 46 37, **e-mail:** duzyformat@wyborcza.pl. **Internet:** wyborcza.pl/duzyformat, instagram.com/duzyformat, https://www.facebook.com/TygodnikDuzyFormat, tiktok.com/@duzyformat **Dział reklamy:** tel. 22 555 55 55. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.